



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

El....y.

Z CYKLU „NAD GŁĘBIAMI.“

VII.

Co złość zniweczy, co występki zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi.
Upadła Ludzkość z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występnicy i krwawi,

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących zórawi.

Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca,

I coraz głębiej przenikając, czysta,
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

VIII.

Tak złe jak dobre wspólną jest zdobyczą:
I ci, co czynem ewangelię głoszą,
I ci, co ziemię zbrodniami pustoszą,
Dzieli się plonem i spadek dziedziczą;

I wszyscy następstw ciężary ponoszą,
Wszyscy w dorobku ciężkim uczestniczą.
Który napawa bólem lub rozkoszą
Ludzkiego rodu duszę tajemniczą.

Ten wzajemności twardego obowiązku,
Zależność losów i współnictwo winy
Z pnia odwiecznego wyrosłych gałęzi

Utrwała wielki religijny związek,
Łączący członków rozpieczętowanej rodziny
W Duchu, co wszystko ożywia—jedyny!

IX.

Dopiero w związku z wszechświata ogromem
Człowiek granice istnienia rozszerza;
Na mocy swego z naturą przymierza
Już się nie czuje bezsilnym atomem,

Tonącym w wnętrzu nicestwa łakomem;
Lecz odzyskuje odwagę żołnierza,
Co wie, że za nim stoi armia świeża,
I że świat cały jest dla niego domem,

Jako cząsteczka tej wielkiej potęgi,
Co się rozciąga w nieskończoność wszędzie...
Może ogarniać wszystkie widnokregi,

Odczuć się w światów niewstrzymanym pędzie,
I na tle czasu wijącej się wstęgi
Żyć w tem, co było, co jest i co będzie.

MIKOŁAJ ZYBLIKIEWICZ.

(Dokończenie).

Było wówczas już więcej ludzi stających przy swoim dobru, niezbywalnym i nigdy nieprze-dawnionem prawie. Do tejsamej epoki również należą zasługi dzisiejszego prezesa akademii Umiejętności, czcigodnego Józefa Majera, który na katedrze fizjologii w Uniwersytecie Jagiellońskim tylko wytrwałością swoją przemógł samowolę wiedeńską, narzucającą mu język niemiecki. Ale odwaga taka była zjawiskiem wyjątkowym; w Zyblíkiewiczzu zaś miała za sobą jeszcze całą siłę męskiej woli i rwącej się do życia, do znaczenia i czynu, szlachetnej ambicji.

Pierwszą posługą publiczną, do jakiej wezwano Zyblíkiewicza, było uczestnictwo w naradach nad urządzeniem Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie w r. 1859 i 1860. Wprowadził go do grona obradujących Adam Potocki, sam pierwszy prezes instytucji, która byt swój nie-strudzonej gorliwości Franciszka Trzycieskiego, a świetny rozwój głównie dyrektorowi referentowi swojemu, Kieszkowskiemu, zawdzięcza. Zyblíkiewicz występował na owych wstępnych zgromadzeniach jako doradca prawny; zdanie jego okazało się bardzo pożytecznym przy układaniu statutu.

W r. 1859 zaświtała dla Galicji jutrzeńka—dnia jaśniejszego. Patent państwowy powołał ludy Austrii do praw politycznych; ustawy państwowe urządziły autonomię, a konstytucja szmerlingowska z Lutego 1861 r., ograniczając ją, w życie wszakże wprowadziła. W r. 1861, na wiosnę, zebrał się we Lwowie pierwszy sejm, już nie posłulatosy, ale rzeczywiście prawodawczy w za-

kresie praw przez autonomią przyznanych. Zyblikiewicz znalazł się w gronie posłów, jako przedstawiciel większych posiadłości w okręgu krakowskim. Tu od razu zabłysnął swoją inteligencją, znajomością rzeczy, rozsądkiem i zmysłem praktyczności. Z ogółu spraw sejmowych wydzielił sobie gospodarstwo skarbowe i w tym dziale doszedł do wysokiego wyrobienia; wiedzę łączył z przekonującym rozumowaniem; rozumowanie wspierał zapalem; wymowę zasadzał na pełności argumentacji, w której logika nigdy dobrowolnie się nie okaleczała a wytaczane do walki dowody sięgały zawsze do jądra rzeczy. Za życia jeszcze powiedziano o nim, że nie piękne słowa do myśli dobierał, ale jędrne myśli w proste przyodziewał wyrazy.

Taki charakter wymowy, opartej głównie na bystrej logice, przez siłę przekonania gorącej, a zresztą wolnej od krasomówczych ozdób i nie dbającej o piękny artystyczny układ myśli—dotrwał do końca publicznego zawodu Zyblikiewicza. Niósł go ze sobą mąż zasłużony coraz dalej i wyżej, na wszystkie te szczeble, po których się wznosił.

Pierwszy sejm krajowy Galicji wybrał Zyblikiewicza do swojej delegacji, która wraz z podobnie wydziałem reprezentacyjnym innych krajów, złożyła pierwszą Radę Państwa Przedlitawii. Odtąd nieprzerwanie już Zyblikiewicz zasiadał w Sejmie Lwowskim, a stąd przechodził do Wiednia i tu znowu wybierany był do delegacji wspólnych, stanowiących najwyższą władzę prawodawczą Austro-Węgier. Nie uchylając się od walki we wszystkich ważniejszych sprawach, głównie przeciw zajmował się stosunkami ekonomicznymi i skarbowymi. Niemcy lękali się go, ale musieli go szanować—i choć im nieraz dojadł, nazwali go nowym Bayardem „Sans peur et reproche”. W Kole Polskiem w Wiedniu był Zyblikiewicz siłą tak wybitną, że pomimo poszanowania dla tradycji pańskości, nie kogo innego, ale jego, parweniusza, wybrano, na krótki czas ministrowania p. Grocholskiego za Hohenwarta, prezesem koła. Przy obronie autonomii w sejmie i radzie, przy układaniu programatu celów i środków wewnętrznych, w walkach z centralizmem i w taktyce parlamentarnej za Auersperga—słowo Zyblikiewicza wiele dobra spełniło. Spory sejmowy rezolucyjny, rokowania w r. 1872, prowadzone w Radzie Państwa przez „Bürgerministerium” po upadku Hohenwarta, dla oderwania Galicji od Czech i całej opozycji słowiańskiej, głosy w delegacjach wspólnych, pozwalają odtworzyć całość zasad i poglądów publicznego Zyblikiewicza ze stanowiska najżywotniejszych interesów tej części kraju, której obrona dostała się delegacji Sejmu Lwowskiego. Dla przyszłego biografa-polityka spoczywa w protokołach urzędowych z owych czasów zasób nieocenionej wartości: a przecież doczeka się chyba, Zyblikiewicz godnej siebie biografii. Będzie to najlepszy dla niego nagrobek.

W r. 1867 już nie dwory krakowskie, ale sam Kraków dał mandat Zyblikiewiczowi do sejmiku i odnowił go w trzy lata później. Po przeprowadzeniu w r. 1873 przez Niemców wiedeńskich, Czech i Morawskich zamachu na autonomię pojedynczych krajów i zniesieniu delegacji sejmowych—wysłał Kraków przedstawiciela swojego do Rady Państwa, ale już w rok później ścigał go do siebie na stałe. Umarł był właśnie prezydent Dietl (1873 r.); nikogo odpowiedniejszego nie znaleźli ojcowie miasta na jego następcę i najwyższą władzę i ster gospodarczy powierzyli Zyblikiewiczowi. Kto inny zastąpił go w Wiedniu; on cały oddał się grodu jagiellońskiemu, nie zrzekając się jednak praw swoich w sejmie. Na nowym stanowisku okazał oddaną niewidzianą w Krakowie energią, wytrwałość, wszechstronność, niezmordowaną pracowitość. Uporządkował miasto zewnętrznie i wewnętrznie, i ulice i gmachy, i urząd i gospodarstwo miejskie; zaprowadził straż pożarną i poparł zaległą sprawę wodociągów; zajmował się budową teatru,—a wreszcie jego tylko przedsiębiorczości i wytrwałej woli zawdzięcza Kraków swoje odnowione Sukiennice, które przecież grodu Krakusa nie przynoszą wstydu.

Jako prezydent miasta, przyjmował we Wrześniu 1880 r. Cesarza Franciszka-Józefa. Przyjęcie to zdziwiło nawet obcych porządkiem i wspaniałością swoją. Sam Zyblikiewicz na własną reprezentację wydał więcej, niż mógł od miasta wymagać. Nie namyslał się, kiedy potrzeba było wystąpić, a chwila była uroczysta. Podobnie i później na najwyższym stanowisku autonomicznym nie żałował grosza i niewielką fortunę swoją wydatkami na reprezentację znacznie uszczuplił. Niewiele miał, gdy się dorabiał przestał,—ale najbliżsi nawet z podziwienia wyjść nie mogli, gdy się po śmierci okazało, że wszystkiego majątku zostawił—kilkanaście tysięcy guldenów.

Ofiarowanie Wawelu Cesarzowi Franciszkowi-Józefowi otworzyło przed Zyblikiewiczem nowe pole dla gospodarczej jego działalności; zajął się zaraz ściąganiem dawnych, przygotowywaniem nowych planów; gmach miał być przyprowadzony do stanu, w jakim się znajdował za dwóch ostatnich Jagiellonów. Okoliczności od woli niezależne, a głównie trzeźwy praktyczny rozmyśl—nakazał powzięte zamiary odłożyć do szczęśliwszej przyszłości. Nie doczekał się również zmarły ziszczenia innego swego zamiaru, którym gorąco się zajął,—dla niego samego i dla ukochanego Krakowa. Ufając energii, Zyblikiewicz, nadano mu dyktatorską władzę w nieszczęsnej sprawie pomnika Mickiewicza; zanim mógł z niej skorzystać, śmierć go zabrała.

Osobiste zetknięcie się z prezydentem krakowskim głównie wpłynąć musiało na postanowienie Cesarza Austriackiego, gdy po przejściu p. Ludwika Wodzieckiego z marszałkowskiego Galicji na prezesostwo „Banku krajów koronnych”—z własnej pobudki miejsce opróżnione Zyblikiewiczowi powierzał. Było to w lecie 1881 r. Dnia 14 Września namiestnik Alfred Potocki przedstawił sejmowi nowego marszałka. Mowa wstępna, wypowiedziana przez Zyblikiewicza wywarła głębokie wrażenie, daleko pozagranicami Galicji. Było to pierwsze niedyplomatyczne, ale odważne, męskie słowo dążności wyższych nad wszelkie stronnicze zapędy, słowo ogarniające już całość społeczeństwa i jego bytu i jasno kreślące programat prac najpilniejszych. Wierny swej specjalności w zakresie publicznym, Zyblikiewicz jako najważniejsze zadanie wskazał podniesienie przemysłu, rolnictwa i handlu. Bez poprawy dobrobytu, bez samodzielności ekonomicznej, wszystko inne—mówił—kołatać się tylko będzie, jak duch w wątle ciele. Zapomóg, ułatwień, zachęt, środków intelektualnych i materialnych, kredytu i komunikacji,—niczego skąpić nie należy, aby tylko Galicję wydobyć ze straszliwego położenia generalnego konsumenta całej Austrii. W wykonaniu tego programatu uchwalony jeszcze za Wodzieckiego Bank Krajowy nowemu marszałkowi niezmiernie szybkie zorganizowanie, a w znacznej mierze i pomyślny dotychczas rozwój zawdzięczał. Po wylewach w r. 1883 zajął się Zyblikiewicz regulacją rzek — i wspólnie z inżynierami i Wydziałem Krajowym wypracował projekt regulacyjny, które jednak uwięzły szczęśliwie w ministerium wiedeńskim, pomimo dwóch rodaków ministrów. Programat ekonomicznego podniesienia kraju na każdym kroku rozbiągając się musiał o sejm, a dobre znowu chęci sejmu borykały się z biedą. Z początku chciał Zyblikiewicz iść przebojem i nalegał na znaczne podwyższenie dopłaty procentowej do podatków stałych, przeznaczonych na potrzeby autonomii; później, jako człowiek praktyczny poznał niepodobieństwo—i zamknął dążenia swoje w szczuplejszym obrębie. Dolegało mu to, że z niewielkiego, bo tylko półczwartą miliona wynoszącego budżetu jedna trzecia część idzie na szkoły, druga na instytucje dobroczynne, a wszystkie inne potrzeby kraju zaspakajane być muszą z pozostałej jednej trzeciej. W dążeniu do równomierności zrodził się projekt szkół ludowych tymczasowych, ze zniżoną skalą nauki, ale i ze zmniejszonymi kosztami. Dwa tysiące trzysta gmin nie miało wówczas jeszcze żadnych szkół, bo nie mogło mieć doskonałych normalnych; Zyblikiewicz wołał mniej doskonałe, ale rzeczywiste. Sejm przyjął propozycję; w Wiedniu ją odrzucono. Na trzeźwe-

go polityka podniosła krzyki mglista pedanteria. Dodać potrzeba, że dążnością Zyblikiewicza w zakresie szkolnictwa było zniesienie uderzającego krótkowidztwem politycznym rozporządzenia ustawy zasadniczej, która *maximum* opłat dworskich na szkoły oznacza na jedną trzecią ogółu nakładów.

Marszałkowską swoją laską władał Zyblikiewicz sprężystością, a sprawiedliwie; w najzacieśszych sporach umiał przez dobre zreasumowanie opinii oczyszczać sprawę z mętów i stawiać jasno przed umysłami; gadulstwo, jak mógł, powściągał. Nieraz sam składał laskę, bądź dla przedstawienia wniosku własnego, bądź dla wygłoszenia swych przekonań o wniosku cudzym. Ciężkie jest powołanie marszałka w sejmie, któremu zestawiono tylko sześć tygodni w roku na obrady ogarniające wszystkie prawie stosunki życia publicznego. Ta krótkość czasu wywołuje mimowoli pośpiech, niedokładność, zamęt—a złego nie łagodzi natura umysłów polskich. Ważniejsze, niż w sejmie, zadanie miał Zyblikiewicz w Wydziale Krajowym. Był on naczelnikiem tej magistratury i wszystkich podległych jej urzędów; cała autonomia, w organizacji swej i funkcjonowaniu, od niego zależała. Szczera siła do pracy, nie znosił Zyblikiewicz próżniactwa, mazgajstwa lub udawania, że się coś robi, jak nie cierpiał nadejści i pychy, a dla niesumiennych był biczem. W Wydziale Krajowym zaprowadził jednosc kierunkową i przedmiotową ciągłość spraw; niezależną od osobistej wiedzy tych, którzy je załatwiali. W utrzymywaniu należytego porządku niezawsze umiał panować nad wrodzoną krewkością. Nie miał skutkiem tego zachowania u urzędników, zwłaszcza u kierujących sekcjami; przez zwykłą u nas, a tak nieszczęsną, wybujałość indywidualizmu zapominano o treści, czepiano się formy. Niechęć te, zwiąawszy się z jakimś ciemnym zabiegami, których wyjaśnienia historya dopiero dokona, dopełniły miary niezadowolenia, jakim przejmował Zyblikiewicz chroniczny brak funduszy na podniesienie kultury krajowej; na jesieni r. z. podał się do dymisji. Był już znużony pracą, przytem i zdrowie fizyczne już mu nie dopisywało, jak dawniej. W epoce usuwania się z marszałkowskiego przebył ciężkie zapalenie płuc,—wyzdrowiał, ale z silnym postanowieniem ustąpienia z urzędu. Intrzygi, opierające się o aż Wiedeń, towarzyszyły całemu zającui; intrzygi również czynne były, nawet przy sympatycznej manifestacji sześćdziesięciu kilku rad powiatowych. Zyblikiewicz nie dał się już przełamać. W Grudniu otrzymał następcę w hr. Janie Tarnowskim, a sam do dożywności krzesła w Izbie Panów dostał nominację na członka najwyższego trybunału w Wiedniu. Prawdziwie zaszczyt mu to przynosi, że gdy mu dla przyzwitości samej ofiarowano wraz z dyplomem marszałkowskim i szlacheckim, przyjęcia go odmówił: wołał pozostać plebejuszem, gdy miał już patrycyat ducha. Ze wspaniałego gmachu sejmowego przeniósł się do skromnych paru pokojów u Pijarów krakowskich. Przez całą zimę czuł się niezadowolony—a jakby w przecuciu śmierci—zdązał do Krakowa, aby w nim umrzeć. Dnia 9 Maja zachorował na powtórne zapalenie płuc, w tydzień potem już nie żył. Umarł dnia 16 Maja o godzinie 8 wieczorem.

Umierał jak żył: z myślą o tej powszechności, dla której z taką miłością pracował. Na dwie godziny przed śmiercią spytał przyjaciela swego p. Kieszkowskiego: — „A co słysząc *de publicis*?” Było to symboliczne słowo pracowitego, obywatelskim duchem przejętego żywota. Wpół godziny potem konać zaczął: gasł spokojnie, bez podrywów i kurczów śmiertelnych.

W dniu skonu wyraził życzenie, aby go pochowano na cmentarzyku w Starem Mieście — ale uległ przedstawieniom, że Kraków nie puści go od siebie, — machnął ręką i rzekł: „Róbcie co chcecie.”

Zrobiło się nagle pusto w Krakowie i w Galicji—i poza jej granicami, gdy zmarł ten szlachcic herbu „Praca i zasługa.” Kraków i „kraj” współzawodniczyły ze sobą w pogrzebie; „kraj” się utrzymał. Uroczystość pochowania zwłok na cmentarzu krakowskim w d. 23 Maja była wspa-

niałym aktem żalu i wdzięczności. Stronnicze nawet niechęci zamilkły. Nie był tak szczęśliwym Kraszewski... Zyblikiewicza żegnali i grzebali wszyscy. Nad grobem powiedziano kilka mów rozumnych, i gorących—a jedną piękną.

Nie możemy się tu powstrzymać od przytoczenia z niej następującej charakterystyki zmarłego obywatela:

„Był to mąż, który na swej tarczy rycerskiej wypisał jedno słowo: „Służyć“ i służyć też umiał społeczeństwu życiem całym. Umiał jednak i rozkazywać jak nikt, jak prawdziwy hetman. O nim to powiedziano, że chmury nawet na jego rozkaz rozpraszały się i ustępowały, gdy tego chciał. Aby iskrę wykrzesać z kamienia, trzeba twardej i czystej stali. Aby zapal do czynu obudzić w narodzie, trzeba było hartu i czystości Zyblikiewicza. Umiał on też pobudzać do czynu wszystkich i na każdym polu, a pamiętał przedewszystkiem o tem, że oświata i przemysł są podwalinami dobrobytu, o nie więc walczył całą siłą i energią. A że wielkie musiał mieć serce, dowodzi to, że tyle serc zdobył za życia, że w tylu sercach boleść obudził swym zgonem przedwczesnym.“

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Piękną była—widział to i uznawał; bujne spłoty włosów okalały czoło kształtne i białe, jak alabaster, gęsta, ciemna brew zataczała łuk lekki nad oczyma spuszczone na klawisze a z pod długich rzęsów nie wymknęło się ani jedno spojrzenie na salon podczas całej gry. Wyrzucone nieco usta miały jakiś wyraz dumnej Junony; na całej twarzy rozlewał się poważny, surowy niemal spokój, który nie licował zupełnie z tem ożywieniem i uprzejmym uśmiechem, jaki zauważyć można było na niej podczas rozmowy przy stole.

Chwilami przez tę marmurową twarz przemikała jakby błyskawica tłumionego uczucia, pomiędzy ciemnymi brwiami mignęła ostra pionowa zmarszczka i delikatne nozdrza zadrgały namiętniej. Trzeba było wszelako z wielką bacznością wpatrywać się w tę twarz, aby pochwycić ów przelotny wyraz chwilowej zmiany; nie uszedł on jednak uwagi Romualda.

Jeżeli spojrzenia mają magnetyczną siłę, w której moc duszy się objawia, to nie dziwnego, że egzekutorka Rubinsteina czuć musiała na sobie wzrok jego i odróżnić go od innych oczu, skierowanych na nią więcej z bezmyślną ciekawością, niż z prawdziwym zajęciem spokrewnionego w tej chwili z duszą jej słuchacza.

Grała jakby nie na popis w salonie, jakby dla siebie samej.

Raz tylko machinalnie podniosła powieki i spojrzała się z dala, ciemnymi oczami jedynego mężczyzny, który w całym audytorium się znajdował...

Oczy te patrzyły i słuchały zarazem z wytężoną uwagą.

Ostatnie akkordy „Romansu“ rozplynać się miały w powietrzu, gdy nagle kilka zmieszanych głosów męskich i jakiś gwar w przedsionku, graniczącym z niebieską salą, przerwał przymusową ciszę.

Ogólne poruszenie stłumiło grę natchnionej pianistki, a jednocześnie na progu stanął gestykulujący żywo Fiszbaum i głosem herolda, zapowiadającego przybycie co najmniej samego króla, obieścił z miną rozpromienioną:

— *Mesdames, monsieur Allan Smith est venu*—i podbiegając ku fortepianowi, w ukłonach i dygach, zaczął się usprawiedliwiać:

— *Madame la comtesse je vous demande pardon, mais...*

Pionowa zmarszczka błysnęła tylko na czole pani hrabiny, ale w ślad za nią pomknął uprzejmy i pobłażliwy uśmiešek, z jakim podając rękę gospodarzowi domu, wybawiła go z kłopotu dalszych usprawiedliwień.

— Ależ rozumiem, rozumiem, i bardzo jestem wdzięczną panu Smithowi, że jeszcze za progiem odgadł moje myśli i przybył zastąpić mnie w zabawieniu państwa czemś bardziej zajmującym, niż stary „Romans“ Rubinsteina.

Zaczęła wdziwiać rękawiczki i z czarującym uśmiechem podeszła ku drzwiom, w których pułkownik Yooth przedstawiał już gospodyni rumianego blondyna o kędzierzawych włosach, we fraku, w bardzo gorsowanym kołnierzyku i z brylantowymi guzami u gorsu.

Słynny odgadywacz myśli, Sir Allan Smith, miał powierzchowność zwyczajnego *commis-voyageur'a*; jakiś odcień arrogancji cechował jego zachowanie się w towarzystwie zupełnie mu obcym i obojętnym. Znać po nim było, że przyszedł na wezwanie za umówioną sumę dać widowisko prywatne w zamkniętym kółku, i że go niecierpliwi salonowa etykieta. Stojąc na środku salonu, rozglądał się dokoła, jakgdyby wyszukiwał dla siebie najpodatniejsze *medium* do swoich spirytystycznych doświadczeń.

— *Now I will begin, but you must pay attention*—odezwał się wreszcie podniesionym głosem poangielsku.

Fiszbaum własnymi rękoma niósł mu w tej chwili właśnie filiżankę herbaty.

— Co powiedział, co powiedział?—pytał ciekawie na jedną i drugą stronę.

— Powiedział, że chce zacząć—przetłómaczył ktoś bankierowi, który piąte przez dziesiąte za ledwie rozumiał poangielsku.

— Tak, odrazu?... a to mu pilno.

Mr. Smith bez ceremonii kolano oparł na krzeselku najbliższej stojącej, jedną rękę włożył do kieszeni, drugą skubał wąsik przycięty przy samych wargach i czekał, aż się gwar nieco uciszy. Nie obchodziły go widocznie ani damy, ani natarczywa ciekawość mężczyzny, którzy go oglądali, jak raroga.

— Mr. Smith nie włada żadnym językiem, tylko swoim rodowitym—przedził wysoki i czarny, jak komin fabryczny, towarzysz słynnego spirytysty, który w charakterze sekretarza i tłumacza przybył z nim razem na zaproszenie państwa Fiszbaumów.

— Mr. Smith pokaże teraz państwu przedewszystkiem sztukę odgadywania myśli—objasniał sekretarz—jedna z osób towarzystwa niech będzie łaskawa pomyśleć coś o drugiej osobie tu obecnej, a pan Smith odnajdzie osobę i odgadnie, co tamta ma wykonać.

Szepty niedowierzania, podziwu i zaciekawienia rozległy się dokoła.

Anglik przystąpił najpierw do Ludwika, podał jej swą chustkę fularową i poprosił, aby mu oczy zawiązała.

— Z panią chciałbym zacząć swoje eksperymenty—rzekł do niej, ujmując długie, białe i delikatne paluszki dziewczyny;—proszę pomyśleć sobie kogoś w tym salonie.

Dziewczę spojrzało na ojca, stojącego jakby w osłupieniu z filiżanką herbaty w ręku, której przez roztargnienie nie miał czasu oddać słuzącemu, i uśmiechnęło się złośliwie.

Szukanie osoby trwało nadzwyczaj krótko; w niespełna dwie minuty Mr. Smith, prowadząc za rękę Ludwikę, zatrzymał się przed Fiszbaumem i dotykając go zlekka palcami, odezwał się tryumfująco z okrzykiem dzikiego Hurona:

— To ten!...

Medium skinęło główką.

— A co mam zrobić?—spytał nie wiedząc czemu skonfundowany bankier.

Sekretarz przetłómaczył zapytanie na angielskie.

— Co pan trzymasz w ręce?

— Filiżankę.

— Próżną?

— Nie, z herbatą dla pana.

— To ją pan wypij sam, odrazu.

Fiszbaum, jak automat, poddał się rozkazowi, a dokoła rozległy się oklaski i śmiechy.

— Czy pani tego sobie życzyła?—spytał Anglik, dając niecierpliwie znać ręką, aby się uciszono.

— Tak—potwierdziło dziewczę z uśmiechem—chciałam papę wybawić z kłopotu, bo nie wiedział, co ma zrobić z herbatą przeznaczoną dla pana.

Mr. Smith spotniałe czoło otarł chustką i jak akrobata zmęczony kilkoma łamańcami forsownymi, poszedł usiąść na krzeselku, zakładając nogę poturecku pod siebie.

— Czy uważa pani, jakie on ma dziwne maniere?—spytała br. Krulle pannę Ernestynę.

— To taka nonszalancja.

— Wygląda, jakgdyby sobie nic z nas nie robił.

— A cóż ma sobie robić z kogo?... mnie się to właśnie podoba.

Z kolei Anglik ofiarował się powtórzyć swą sztukę z *medium* rodzaju męskiego.

— To ja—następcą się natrętnie Fiszbaum, który był zachwycony swoim gościem—spróbuj pan ze mną.

Smith spojrzął na grubą, tłustą rękę bankiera i bez odpowiedzi odwrócił się od niego.

— *If you please*—rzekł do Romualda, podając mu fular do zawiązania oczu.

Młody człowiek zawahał się chwilę, ujął jednak dłoń Anglika i wolnym krokiem zaczął obchodzić z nim salę.

Odgadywacz myśli przystanął przy pani Odonieckiej, wziął ją za rękę i pociągnął szybkim ruchem do fortepianu.

— Moje *medium* życzy sobie, abyś pani zagrała—rzekł, jakby pod wpływem nagłego objawienia—czy prawda?—dodał, zwracając się do Romualda.

— Prawda—wyszeptał zapytany głosem niepewnym, czując, że mu rumieniec wybiegł na licę i że spuścił oczy, nie wiedząc czemu, przed kobietą, której dotychczas nawet nie był przedstawionym z nazwiska.

Nie mógł ukryć pewnego zakłopotania w tej dziwnej sytuacji, w jakiej znalazł się przypadkowo i tak niespodzianie. Nie mu nie mogło zależeć na ukrywaniu swej myśli, a jednak czuł jakieś niezadowolenie z tak jawnego jej odsłonięcia.

— Pan Smith jest naprawdę czarnoksiężnikiem—usłyszał w tej chwili obok siebie głos panny Ludwika—bo odgadł jednocześnie dwie myśli, moję i pana Lackiego.

Słowa te, skierowane były do p. Odonieckiej.

— Przerwano nam śliczną grę pani w najbardziej zajmującym miejscu—mówiła dalej—należy się nam jeszcze dokończenie tego pięknego „Romansu.“ Ale, jeżeli się nie mylę, pan Lacki nie miał zaszczytu być dotąd przedstawionym pani?—wtrąciła, spoglądając na Romualda wzrokiem pytającym—pozwoli pani, że z konieczności zastąpię mamę w obowiązku gospodyni... pan Romuald Lacki—dodała, przedstawiając nową znajomość.

Romuald skłonił się nisko i zlekka dotknął białej rączki, która się ku niemu wyciągnęła na powitanie.

— Bardzo mi miło poznać pana.

Rozmowa we troje rozpoczęła się od najbliższego tematu, jaki następcą Mr. Smith swoją szczególniejszą zmysłnością i nadzwyczaj wyrobioną czułością swoich nerwów.

Anglik zabierał się do pokazania najbardziej zajmującej sztuki, która go wślawiła w całej Europie i Ameryce: do odnalezienia szpilki ukrytej.

Dziesięć szpilek różnego kształtu i wielkości znalazło się odrazu na jego usługę, ale pan Fiszbaum nie chciał pozwolić na to, aby do tak poważnego celu służyć miała czyja inna szpilka, nie jego własna. Przyniósł zatem szpilkę swą od krawatu z ogromnym brylantem, otoczonym perłami i ofiarował się schować ją tak, aby „sam dyabeł znaleźć jej nie mógł.“

Mr. Smith nie zgodził się na to i poprosił br. Krulle do wykonania jego poleceń; poznać musiał, że znajdzie w niej podatne dla siebie *medium*, jako w osobie mającej wszelkie cechy nerwowe-go usposobienia i wrażliwości wielkiej.

Całe towarzystwo zajęte było tylko sprawą szpilki, którą baronowa z najmłodszą siostrą, wezwaną do pomocy, poszły ukryć aż w sypialnym pokoju rodziców; wpięto ją w największej tajemnicy w atlasową kotarę nad łóżkiem matki.

— Tu chyba nie znajdzie—mówiła baronowa—przez samą przyzwoitość.

Rozpoczęły się poszukiwania; całe towarzystwo, zapierając oddech w piersiach, na palcach, sunęło za Anglikiem z zawiązanymi oczyma, prowadzonym przez bladą z przejęcia i drżącą baronową po wszystkich salonach obszernego apartamentu państwa Fiszb Baumów.

Niebieska sala pozostała opustoszoną z gości; jedna tylko para przechadzała się po niej, zajęta ożywioną rozmową, nie dzieląc widocznie gorąckowej ciekawości całego towarzystwa; była to pani Odoniecka i Romuald. Nie spostrzegli się nawet, że ich pozostawiono samych.

— Czy uważa pani—mówił Lacki—że nas odbiegli wszyscy.

Ona spojrzała z uśmiechem po sali i rzekła:

— A prawda: pan nie ciekawy rezultatu poszukiwań pana Smitha?

— Bynajmniej, lecz pani?...

— Ja taksamo; jestem pewną, że znajdzie w końcu; a biegać po wszystkich kątach i tłoczyć się, aby być świadkiem tego, o czym się jest z góry przekonana, uważam za zbyteczne. Dla jednej szpilki zawiele zachodu.

— Ale to szpilka z brylantami.

— Wszystko jedno, tem mniej warta od zwykłej, bo mniejszy z niej użytek; służy tylko do ozdoby czyjegóż krawata i mija się ze swem właściwym przeznaczeniem.

— Taki to już porządek w świecie, że ludzie gorliwiej poszukują tego, co im przyjemność sprawia, niż co im pożytek przynosi. Dla drobnych poświęcamy nieraz więcej czasu, starań, wysiłków, aniżeli dla rzeczy prawdziwej wartości i znaczenia.

— Masz pan słusność; chodzimy szukać szpilek aż do umęczenia... a potem spinać niemi nie mamy nawet czego.

Roześmieli się oboje.

— Na tem ciąglem szukaniu czegoś wszelako, polega całe nasze życie—wtrącił Romuald.

— Niezaprzeczenie, jednak powiedz mi pan, proszę, czy tu zawsze samych szpilek szukają?...

— W tem towarzystwie?

— Tak, jestem tu obcą, nie znam jeszcze tego świata i ludzi, a będąc zmuszoną żyć wśród niego, chciałabym go poznać bliżej.

Lacki spojrzął na nią przez chwilę i rzekł:

— To może niewdzięcznie być zbyt szczerem pod gościnnym dachem ludzi, którzy swoich gości truflami karmią, ale nie chcąc pozostawić pani bez odpowiedzi, muszę wyznać, że szpilka bywa w tej sferze wartą prawie tyle, co człowiek, a brylantowa—często więcej od człowieka.

— Domyślałam się tego—rzekła—i to nie wesołą przyszłość mi wróży.

Chciał jej odpowiedzieć coś na to, lecz spostrzegł się, że i tak za wiele powiedział w tej pierwszej rozmowie, jaką prowadził z kobietą poznaną zaledwie przed godziną, a nadto za drzwiami dały się słyszeć głosy i śmiechy powracającej wyprawy, z Mr. Smithem na czele.

Pierwsza wbiegła do salonu Ludwika, jakgdyby szukając kogoś, a spostrzegłszy Romualda sam na sam z Odoniecką, zmarszczyła czołko, zagryzła nieznacznie usta i uśmiechnęła się z jakąś złośliwością, która nie licowała wcale z naiwną twarzą panią dopiero w świat wchodzącej.

Zabawa i popisy cudotwórcy Anglika trwały jeszcze dość długo; salony państwa Fiszb Baumów zapełniły się tłumem gości, przybywających na herbatę; cała śmietanka towarzystwa, kwiat plutokracji i inteligencji miejscowej znalazł się w komplecie, gdy służba rozsunała mnóstwo małych i zgrabnych stolików, na których ustawiono, jak u Wierzyńki, półmiski i talerze pełne wybornych przysmaków do kolacji.

Obierając mandarynkę różowymi paluszkami, pani Odoniecka, jakby od niechcenia, spytała u przejmą gospodynią domu:

— Czem jest ten pan Lacki, którego miałam przyjemność poznać dziś u państwa?

Bankierowa zrobiła minę trochę zakłopotaną.

— Przyznam się pani, że trudno mi na to odpowiedzieć—rzekła—pan Lacki jest... niczem.

— Jakto, niczem?... człowiek tak inteligentny?—podechwyciła z przykrem zadziwieniem Odoniecka.

— Ha, cóż robić!... podobno znajduje się w interesach; ojciec jego miał znaczny majątek, ale stracili wszystko. Zostało im tylko piękne nazwisko i podobno tylko jedna niezadłużona wioska. *Mais c'est un homme très comme il faut, n'est-ce pas madame?*...

Dalszą rozmowę przerwał toast gospodarza domu na cześć znakomitego gościa—pana Allana Smitha.

II. Ta czy tamta?...

— Poczekajno, poczekaj—mówił pan Sylweryusz Lacki do syna swego Romualda—naza jutrz po wieczorze u państwa Fiszb Baumów—ja znalazłem jakiegoś Odonieckiego przed laty, ale to dawno temu; widywałem go na kontraktach w Kijowie. Musi to być dziś człowiek w moim wieku, albo nie o wiele co młodszy. Może to ten sam? uchodził za milionera wówczas.

— Nie umiem ojcę powiedzieć—wtrącił Romuald.—Fiszb Baum wspominał mi coś o jego hrabstwie.

— A to się zgadza; tamten się także tytułował hrabią. Przypominam go sobie teraz zupełnie... Zadawał nam wszystkim szyku swoimi końmi i liberyą, z którą zjeżdżał, jakby udzielny książę... Dziwak był trochę, coś jakby mu piątej klepki brakło. Pieniądze garściami rzucał, nawet nie z pańską fantazyją, ale z jakimś mieszczańskim marnotrawstwem, dla popisu. To tensam będzie.

— Już go niema.

— Jakto?...

— Umarł na apoplexyę.

— Umarł?... patrzaj; a był zaledwie w moim wieku, no, ale apoplexya, to przypadek. Cóż się stało z majątkiem?

— Powiadam ojcę, że mam bardzo mało szczegółów o mojej nowej znajomości; przypuszczam wszelako, że majątek odziedziczyła wdowa po nim i córka.

— A kto jest pani Odoniecka z domu?—pytał dalej z zajęciem pan Sylweryusz.

— Także nie wiem.

Stary Lacki ramionami wzruszył z niechęcią.

— Od ciebie—bo nigdy niczego dowiedzieć się nie można!—rzekł—takie rzeczy cię nie obchodzą, a to przecież zawsze zajmujące szczegóły. Trzeba wiedzieć, kogo się zna i z kim się prze staje. Ja nie pojmuję, co ty robisz w towarzystwach?...

— Nudzę się.

— To wstyd; człowiek młody nie powinien się nigdy i nigdzie nudzić. Ja w twoim wieku bawiłem się nawet w karczmie na popasie, a nie dopiero w salonie. Nieboszczka matka mogła ci być o tem godzinami całemi opowiadać. Dziś jeszcze, gdybym bywał w świecie, zobaczyłbyś!... Ale, niestety, trzeba było przed czasem abdykować.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LVII.

Małżeństwo Apfel, komedia w 4-ach aktach, oryginalnie napisana przez Kazimierza Zalewskiego; przedstawiona poraz pierwszy w Teatrze Letnim, d. 9 Czerwca.—Gościnne występy artystów dramatycznych pp. Romana Żelazowskiego ze Lwowa i Edmunda Rygiere z Krakowa.—**Francillon**, komedia w 3-ach aktach *Alex. Dumasa*, przekład *Edwarda Lubowskiego*.

Na scenie warszawskiej wystawia p. Zalewski drugą już komedię, której przygody osnuwają się

na małżeństwie mieszanem chrześcijańsko-żydowskim. W *Naszych ziemiach*, przedstawionych w zimie roku zeszłego; pokazał nam tombakowych młodzieńców, zruinowanych majątkowo i moralnie, którzy o tę drugą stronę swego istnienia nie dbając, dla pierwszej szukają ratunku w posagach córek bankierskich, a cyniczne wyzyskiwanie ojców uważają sobie za zaszczyt. Próżniactwo, rozpusta, niegodziwość charakteru: to o prawa posagowa, jaką ci przedstawiciele pięknych rodów szlacheckich dają swym żonom. Te znowu dostrajają się wiernie do swych mężów; niekochane i pogardzane, mszczą się za to na prawie moralnem, które już w samej atmosferze bankierskiej nieosobliwie kwitnąć musiało. Niełatwo o takich małżeństwach powiedzieć, która strona w nich robi gorszy mezalians: czy chrześcijanin z herbem, czy żydówka nieherbowa; bo, że obie popełniają mezalians, tego dowodzić nie potrzeba. Autor w tej dawniejszej swojej komedii niewątpliwie potrząsnął życiem samem, choć może to złe, które rozpalonem żelazem satyry przypiekał, nie dorosło jeszcze u nas do rozmiarów *kwestyi społecznej*. W każdym razie zasłużył na uznanie za to, że nie wahał się napiętnować niegodzwej spekulacji—stokroć od przysłówowych już geszeftów żydowskich gorszej,—bo niemoralniejszej o całą tę skalę, jaka instytucją małżeństwa ponad stosunki pieniężne prawa cywilnego wynosi.

Żydzi w *Naszych ziemiach* są takimi, jakimi ich widzimy na poziomie gromadnego życia; tylko jeszcze bogactwo dodaje im dziwactwa i śmieszności. Od ponurego tła etycznego odbija kilka jasnych postaci. Jest pomiędzy nimi dwóch szlachty, z których jeden, ożeniwszy się z bogatą żydówką, w majątku jej znajduje tylko środek do uczciwej i użytecznej dla innych pracy, a drugi z żydówką wcale żenić się nie chce, bo lęka się mezaliansu krwi i ducha; jest także i córka bankierska, która przez duchowy swój rozwój odbiegła daleko od ojcowskiego gniazda i stała się godną ręki najlepszego człowieka—może zatem i szlachcica.

Rozdzierając parę ludzi, wzajem przeznaczonych dla siebie przez miłość, autor nie stał wprawdzie na stanowisku zasadniczych niechęci antysemityzmu, ale pojęć swoich jasno nie wyłożył, może wskutek pewnego zamglenia i niejednolitości charakterów. Rozwiązanie przygody miłosnej w zakończeniu komedii sprawia przeciwie takie wrażenie, jakgdyby p. Zalewski nie mówił wręcz Horskemu: „Nie żeni się” lecz tylko, mając w nim gotowy już sceptycyzm rozumu i obrażoną godność człowieka, skorzystał z nich, aby serce ostatecznie posłać pod jarzmo tradycyjnej reakcyi.

Ów szlachcic, uczciwie żeniący się z żydówką, w poprzednim utworze p. Zalewskiego, występuje tylko epizodycznie. Rzadko go widzimy i znamy też bardzo mało. Nic nie wiemy, czy w małżeństwie swem znalazł tak zwane szczęście, czy też go wcale nawet nie szukał. Możemy tylko ze słów Janusza wywnioskować, że jest pomęczką szczęśliwym t. j. w złej czy dobrej doli umie zachować spokój i siłę. Przekrój psychologiczny tego małżeństwa pozwoliłby zestawić światła i cienie; stanowiąby odpowiednik do *Naszych ziemiach*, dawałby im uzupełnienie i szerszą podstawę społeczną i towarzyską. Tematu tego wszakże autor więcej już nie podjął; zamilczał też o losach Aldony Loli. W *Małżeństwie Apfel* sięgnął po nowe zupełnie charaktery i nowe stosunki—trzymając się jednak gruntu owych małżeństw mieszanych. I tu również przysięgę przed ołtarzem poprzedziło polowanie na pieniądze żydowskie. Tylko już nie zdechlaki i nieponie, ale pocziwa dmąca, tylko w swój herb, a podupadła rodzina szlachecka, ojciec i matka, sprzedają dziecko swe kapitałście. Sprzedaż ta właśnie tylko co się dokonała. Jesteśmy we wspaniałej sali restauracyjnej. Goście zbierają się i wyczekują przybycia państwa młodych, którzy z kościoła jeszcze nie powrócili—i w I akcie wcale nie powrócą, aż dopiero pod sam koniec i poza oczami widza, którego ciekawość tym sposobem autor wcale zręcznie na próbę wystawia.

Zanim się nam w akcie drugim ukażą, wiemy już, jak nazewnątrż wygląda to ich małżeństwo.

Rodzice panny Zofii Czaputkiewiczówny wzajem wyrzucają sobie wydanie córki za żyda. Co pierwszej było zasługą, teraz musi być winą: jakżeby inaczej na świecie być mogło? Oboje wzdrzają się na samą myśl podejmowania „żydów.“ Oboje przechodzą przez ogień tego, co im pycha jako upokorzenie wskazuje. Żadne, oczywiście, nie ma odwagi przyznać się do wstępu; wilka z lasu wywołuje dopiero ojciec męża, Antoni Apfel. Dawno już nawrócił się on na chrześcijaństwo, syn jego, Ernest, już się chrześcijaninem urodził: mezalians zatem nie jest tak wielkim, jak w *Naszyci* *zięciach*; gdyby nie tyrania obyczaju, nie byłoby go wcale. Można wprawdzie mówić o żydowskim pochodzeniu młodego Apfela, żydem jednak nazywać go nie wolno. Stary może kiedyś robił nieuczciwe interesy we wszystkim, co się nadarzyło; dziś robi tylko handlowo-uczciwe interesy w cukrze. Jest on poważnym, myślącym człowiekiem, a rozumnym milionerem, zna wartość słowa i wartość grosza, — i umie, gdzie potrzeba, użyć potęgi złota. Korzysta z niej zaraz w pierwszym akcie dla ujęcia sobie rozdanych rodziców Zofii. Nagła metamorfoza szkodzi powadze sztuki, tworząc motyw do pewnego stopnia krotchwilny. Rozum Apfela przywraca równowagę pozorów towarzyskich. Czaputkiewiczowie pracują, jakby za pańszczyznę, siłą się na uprzejmość. Z rodziny całej zjawia się tylko młody Leon, ich siostrzeniec; wszyscy inni zerwali stosunki. Ze strony mężowskiej stanął nieprzynośzący zaszczytu spekulant Grünburst z żoną, silnie w charakterze swym ujęty i przepojony śmiesznością. Oboje ci państwo z rozwódką Matyldą, która nie umiała złapać Ernesta Apfela dla siebie, a chciałaby już w sztuce usidlić Leona, jakieś małżeństwo lekko komiczne, dwóch młodzińców próżniaków, zarysowanych satyrycznie, ale bez głębszej wyrazistości, wreszcie oboje rodzice ze swym krewniakiem i stary Apfel — składają orszak weselny. Zabawia się on rozmową i obmową, oczekując państwa młodych. Pozgromadzeniu przelatuje nieraz dowcip, umiejący kasać złośliwie; dyalogowi nie można zarzucić szorstkości — lub czczości: cały ten akt pierwszy jednak nie dorównywa podobnym robotom dzisiejszych Francuzów, którzy w sztuce wytwarzania towarzystwa na scenie okazali się rzeczywiście mistrzami. P. Zalewski czuł potrzebę odmalowania tego ośrodka, w którym rozwijać się miała dramatyczność charakterów, i dlatego poprzedził dramat prologiem, o cały rok od niego wcześniejszym; ale taka forma wtajemniczenia widza w stosunki nie była jedyną, nie była konieczną. Wszystkie znamienne momenta aktu I można było wcielić w kompozycję następnych. Im doskonalsza jedność czasu, tem lepszy dramat.

Po ślubie państwo Apflowie wyjechali zagranicę, bawili pół roku i od pół roku także mieszkają w Warszawie. Akt drugi rozpoczyna się od samotnej herbaty Ernesta. Pani domu je śniadanie z rodzicami, dość wesoło, jak świadczą dochodzące odgłosy; pan — skazany na odosobnienie, nawet w tak niewinnej sferze małżeńskiego pożycia. Mroźne powietrze odrazu zalatuje od tego nieszczęśliwego ogniska domowego; nie potrzebujemy już innego świadectwa, aby wiedzieć, że małżeństwo Apfel obywateli się bez miłości, że żona toleruje tylko męża i trzyma go pod despotycznym, może tylko wyłożonym, jarzmem obojętności. Mąż, zaprawdę, musi być charakterem nad zwykłą miarę delikatnym, musi tłumić w sobie godność własną i wymuszać spokój, aby mógł pod taki regiment głowę poddać — i rozumem nad krewkością panować. A sam ten rozum jego nie byłby dość silnym, w tem najstraszniejszym dla mężczyzny upokorzeniu, gdyby go nie podpięrało głębokie szczere, bezdenne młodzieńcze uczucie, które z wszechmocy swojej ciągłą nadzieją wytwarza i dzisiejsze cierpienia przyszłego szczęścia balsamem koi. Takiej metody leczenia ducha używać mogą tylko natury bardzo czyste, młode, idealistycznie nastrojone — zdolne do szlachetności i potrzebujące jej nawet do życia. Nadspodziewanie z gniazda Apfelów, który nie zapomnił jeszcze o mojej szewce „zab za zab“, — wylatuje taki biały gołąb. Niema w tem nic nieprawdopodobnego, bo człowiek nie z krwi samej tylko

powstaje, a stary Apfel, sam rozumny, ceniący wartość oświaty i prawości, czujący potrzebę podniesienia się na wyżyny społeczne i moralne, a przytem posiadający okwite środki, mógł zapewnić synowi swemu dobrodziejstwo uszlachetniających wpływów. Dlaczego by nie miał być szlachetnym taki kończący się na *el*, a musiał być *ex officio* szlachetnym jakiś kończący się na *ski*, dlatego może, iż ma karmazynów w rodzinie? O biedne głowy nasze łopocą jeszcze ciągle nie toperze przesądów, wypuszczane przez magistrów ciemnoty, przez spekulantów robiących dobre interesy na podtrzymywaniu i szerzeniu uprzedzeń i niesprawiedliwości. I to jest, zdaniem moim, jedyne źródło niewiary witającej młodego Apfela, jako pomysłu sztuki w komedii p. Zalewskiego. Jeżeli to źródło zasypujemy — Ernest jako indywidualność będzie najzupełniej prawdziwym. Autor postąpił z wielką oględnością, kiedy do komedii swej wprowadził takiego Grünbursta: jest on potrzebnym nie tylko dla śmiechu, ale i dla tej równowagi prawdopodobieństwa, która zjawisk szczegółowych nie pozwala uogólniać i daje autorowi tarczę od pocisków, broniących prawdy życia.

Przy szlachetności charakteru odrzucane uczucie Apfela zamienia się w cześć dla niekochającej go kobiety. Być posłusznym na każde skinienie, uprzedzać wszystkie pragnienia, wypełniać wszelkie żądania: to jego kodex. Potrzeba stu tysięcy rubli dla wyratowania zadłużonego szlachcica, ojca owego Leona: summa wielka, ale pieniądze będą, bo prosi o nie Zofia. Następstwa tej pożyczki okazują się zgubnymi dla samych Apfelów; pobudka prośby była bardzo niepożądaną dla urzędu mężowskiego: nie to nie znaczy: nawet cień żalu nie postanie w duszy Ernesta, bo tak chciała — ona. Jako człowiek moralny, wierny prawu odpowiedzialności wyższej nad kodexową, młody Apfel spełnia bez namysłu obowiązek, jaki na niego wkłada ruina majątkowa ojca: oddaje swój majątek wierzycielom ojcowskim. Ojciec odrzuca tę szlachetność, jako szaleństwo; z piersi zaś synowskiej wychodzi głos tak głęboki, silny, a niezłomny, że od tej chwili sceptyk nawet na punkcie rasowości, jeśli tylko jest sumiennym, tę postać dramatu p. Zalewskiego pokochać musi. Etyczne promieniowanie Ernesta dosięga swego szczytu, w chwili, kiedy dobrowolny bankrut wyrzeka się ukochanej, która z innym znaleźć może szczęście, a z nim samym — z jakimś chemikiem przy cukrowni — nie znalazłaby już nawet takiego bytu materialnego, do jakiego ma prawo. Ale tutaj następuje przełom. Wyzucie się z najdroższej własności, przypadające na sam koniec sztuki, łamie lody, zdobywa odrazu odporne, ale czyste, namiętną żądzę niezbrukane serce. Zofia woła: „Mężu mój“ i rzuca mu się w objęcia. Na tem sztuka się kończy, i świetnie się kończy. To, co się potem jeszcze dzieje, nie ma już znaczenia.

(Dokończenie nastąpi).

WYSTAWA HYGIENICZNA

w Warszawie.

(Dalszy ciąg).

Sprawozdanie z działu wychowawczego.

II.

Gry i zabawy dzieci i młodzieży.

Kto chce dobrze zwiedzić wystawę, nie powinien poprzestać na obejrzeniu martwych przedmiotów wystawionych; w tym razie, jak i w każdym innym niepoślednie znaczenie mają próby, faktyczne zastosowanie tego, co okazy przedstawiają i co obiecują.

Sekcja wychowawcza wystawy higienicznej

rozumiała to dobrze, że higiena dzieci, w teorii, w rysunkach i w przyrządach okazana, nie wystarcza, że publiczność powinna faktycznie mieć przedstawione to, na co się dziś szczególną zwraca uwagę, a co, niestety, u nas nie nabrało jeszcze znaczenia w oczach rodziców. Mówimy tu o zabawach ruchowych, zabawach na wolnym powietrzu. Wiadomo powszechnie, że odczytywaliśmy zawsze rolę maruderów w ogólnym postępie; jesteśmy nimi, wyznać to trzeba szczerze, i obecnie w wielu sprawach wychowawczych. W pojęciu ogółu zabawa dzieci nie nabrała właściwego swego znaczenia, podczas gdy zagranicą sprawa ta ma już swoją historią i ostatecznie rozstrzygniętą została. Kto dziś jeszcze utrzymuje, że zabawa jest szkodliwa, jako odrywająca dzieci od pracy poważnej, kto jest zdania, że zabawa może nie być szkodliwą przy umiejętnym kierunku — to jednemu i drugiemu powiedzieć musimy, że oba te poglądy zostały już złożone w archiwum historii pedagogii. Nowsza nauka uznaje, że zabawa jest nieodzowna, konieczna, że jest integralną częścią wychowania — najwyżej podnosi zabawy ruchowe; albowiem gdy przy zabawach siedzących odświeża się tylko umysł, to przy zabawach ruchowych ożywia się cały człowiek. Takim sposobem zabawy ruchowe odpowiadają zarówno warunkom higieny ciała, jak i warunkom higieny umysłu.

Wystawa higieniczna nie mogła nie uwzględnić tych wymagań: i oto właśnie na placu wystawy znajdujemy w niedzielę i święta setki dzieci, począwszy od paroletnich, które pod kierunkiem nauczycieli gymnastyki, w takt dźwięków muzyki wykonywają wolne ćwiczenia gymnastyczne i pochody. Niezależnie od tego firma zabawek i gier dziecięcych Krasnodębskiego, ustawiła przybory do różnego rodzaju gier — mało lub wcale u nas nieznanych; znajdujemy tu np. grę z siecią (Lawn-tennis) grę w żabę (Jeu du tonneau), grę w krokieta, rzucanie kulami (passe-boules) i t. d., którym to zabawom młodzież oddawać się może codziennie bezpłatnie. Podobnie i ćwiczenia gymnastyczne ze starszą młodzieżą odbywają się codziennie, również bezpłatnie. Z obowiązku sprawozdawczego powiedzieć musimy, że ani publiczność zwiedzająca, ani sami uczestnicy zabawy i gymnastyki nie mogą tu nabrać dokładnego pojęcia o grach owych, ani też o racjonalnych ćwiczeniach gymnastycznych, chociaż z drugiej strony rozumiemy to dobrze, że wzorowe poprowadzenie tych rzeczy wymagałoby wielu czynnych kierowników i co zatem idzie, kosztów; powodzenie wszakoż wystawy nakłada na zarząd pewien obowiązek, aby w tym względzie wydatków nie skąpił. Wracając jeszcze do zabaw dzieci, nadmienić musimy, że sprawiają one na nas wrażenie zamętu; aby temu zaradzić, wypadałoby powiększyć liczbę kierowników zabawy, którzy, ułożywszy naprzód starannie plan, ściśleby go wykonywali, kierując dziećmi w pojedynczych grupach, które to grupy łączyć-by się powinny tylko w pewnych chwilach zabawy, jak np. w pochodzie ozdobnym lub w marszu. Nadmieniamy tu także, że i niekarność publiczności, przechodzącej sznury i mieszącej się między dziećmi, przeszkadza zabawie i przyczynia nieporządku.

Jedną jeszcze uwagę:

Nawet przez okulary największej zyczliwości dla tych zabaw, nie można nie dopatrzeć wielu stron ujemnych. Widząc tyle dziewczynek dzwacznie a arcy-jaskrawo postrojonych, sztywno stających, mimowoli zapytujemy się: zabawa to fizyczna, pantomina jakaś, czy teatr papużek? Panowie lekarze higieniści, orzecznicy sumienni, czy w tych obcisłych staniczkach, przy tylu zapinkach, podpinkach, pętelkach, guzikach, szpeflączkach może ciało dziecięce swobodnie odbywać ruchy? Wolne ćwiczenia gymnastyczne czy też tortury nasze dzieci w oddziale higieny wychowawczej odbywać mają? Uprośnienie dyżurnego lekarza, któryby dzieci w kostiumach nieodpowiednich do zabawy nie dopuszczał, nie przedstawia wielkiej trudności.

Nakoniec stanowczo zganić musimy włożenie chłopców na słup, a więcej jeszcze nagrody za tę sztukę — żywcem już wzięte z „Ujazdowa“ wielkanocnego.

III.

Ogólne zasady higieny wychowawczej.

Zanim wejdziemy do wnętrza pawilonu wychowawczego, aby się w szczegółach rozpatrzyć, zwrócić jeszcze musimy uwagę na jedną rzecz niemałej doniosłości: są to *zasady higieny wychowawczej*, rozwieszone na tablicach w budynku szkolnym, tudzież drukowane w katalogu wystawy na czele odnośnego działu. Owoc to pracy, której członkowie sekcji wychowawczej, złożeni z lekarzy, higienistów, budowniczych i kierowników młodzieży, tudzież nauczycieli, sporo czasu i kilka posiedzeń w zwiększonym komplecie poświęcili. Cenny ten rejestr higieny wychowawczej zasługuje na ogólne rozpowszechnienie: podajemy go tu z małymi modyfikacjami.

Higiena wychowawcza, ma na celu ochronę zdrowia młodzieży t. j. zapobieganie rozwijaniu się chorób i różnych złożeń organizmu, przez odpowiednie urządzenie zakładów szkolnych, przez odpowiadający zasadom nauki rozwój fizyczny i umysłowy organizmu, a to począwszy od niemowlęstwa, aż do wieku dojrzałego. Higiena ta dzieli się na:

I. *Higienę indywidualną* i II. *Higienę pomieszczeń*. Higienę wychowawczą w zastosowaniu do dzieci w pierwszych dwóch latach życia nazywają *higieną niemowląt* w przeciwstawieniu do drugiego działu tej nauki t. j. *higieny dzieci i młodzieży*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DRAMATA KONKURSOWE.

II.

II. *Agrypina* (Neron), dramat historyczny w 5 ciałach z prologiem przez *Józefa Łobuńskiego*; III. *Domna Rozanda*, dramat historyczny w pięciu aktach przez *Zenobiusza Drakuli* (pseudonym); IV. *Albert*, wójt krakowski, tragedia w 10 obrazach wierszem *Stanisława Kozłowskiego*, uwieńczona pierwszą nagrodą (wydana nakładem funduszu konkursowego wraz z życiorysem *Wojciecha Bogusławskiego*, przez *Władysława Bogusławskiego*; Warszawa, 1887).

(Dokończenie).

To, co mówi Suderman o Niemcach krakowskich na str. 36 („My tworzymy oazę wśród morza piasku“), a o czem zapomniał p. Kozłowski, kiedy wsadzał wszystkich swych Niemców na szczudła — da się zastosować do stron dodatnich jego utworu. Są to rzeczywiście oazy w morzu piasku, a wolimy powiedzieć: wulkanicznego popiołu. Niech się autor o ten popiół nie gniewa; jest to właśnie korzystne dla niego świadectwo. Wielkim wulkanem zapewne autor *Wójta* nie będzie, ale dobrze być i małym, dobrze mieć w sobie ogień: kto go ma, ma i życie i przyszłość. Utwór obecny nie dał nam wprawdzie tego, czegośmy się spodziewać mogli, ale pamiętamy o tem, że „pierwsze koty za płoty“, a z tej masy wierszy nazwanych „tragedią w dziesięciu obrazach“ — nie wszystko, jak już z powyższego widać, zasługuje na wyrzucenie za płot. Tylko potrzeba przy większej części ustępów dodatnich zopomnieć o tem nieszczytnym tytule i tym również nie szcзыtnym temacie, i nie pytać o to kto i do kogo mówi, lecz brać tylko wiersze za wyrazy bezimiennych stanów duchowych, w lirycznej występujących postaci. Z takim zastrzeżeniem wskazujemy jako poetyczne ustępy dramatu: mowę Janka (str. 21), legendę przez niego opowiedzianą (str. 24/5), upomnienie się Dornbucha za nędzarzami podmiejskimi (str. 30), głos Małgosi w rozmowie z ojcem (str. 77), znowu Janka modlitwę do Chrystusa (str. 83):

Miej litość nademną.

Chryste, coś cieszył strapionych nędzarzy,
Bo się mózg wrzący w mojej głowie zwarzy;
Powróć mi córkę i ratuj w zgryzocie!
Ja teraz jestem, jak ty, na Golgocie,
Wobec ciemności burzy i zawiei,
Jak ty umieram, — ale bez nadziei!

I tensam człowiek w parę minut potem chce widzieć córkę „wesołą, zdrową i — koniecznie — ładną“ — „niepokalaną i dziewicą czystą“ — ale w „miłości ognistą“, jakgdyby był kochankiem, nie ojcem, i tak jeszcze srodze dotkniętym ojcem! Potem znowu powraca szczere natchnienie, już nie dla rymu; zrozpaczony ojciec woła, choć nie pięknie, ale silnie:

Ona jest odarta

Od mego serca, jak ciało od kości“.

Któżby się spodziewał, że tensam Janko później, przy skonie, rozpoczyna wykład miłości higienicznej, przerwany tylko dla następującej bredni:

Lecz wkrótce inny młodzieniec wyskoczy (!)
Ty zaś wdzięczne (!) zrób do niego oczy
I nie odtrącaj. Bacz, moje kochanie,
Ciężka jest dola panny, gdy zostanie
Samotną.

Za gminność tę usiłuje autor wynagrodzić Janka pięknym skonem: kasztelan woła ręki Łokietkowej do ucałowania; Łokietek pochyła się wzruszony i całuje go w czoło (str. 215). Pięćdziesięcioletni przeszło Muskata, stawszy się nagle ze zwierzęcia Manfredem, Larą Lambrem, Zbigniewem — wszystkim, na dobrze wyrażone błagania Małgosi odpowiada (str. 111) wyznaniem miłości dla dwudziestoletniego młodzieńca tylko stosownem. Co się już dzieje w dalszym ciągu tej sceny więziennej — strach pomyśleć. Mania tworzenia wierszy przed wytworzeniem charakterów, mających temi wierszami przemawiać, wodzi poetę po niepojętych wertepach, przybrawszy sobie do pomocy manię szekspirowskiej charakterystyki sensualistycznej. Nazywa się to dziś banalnie realizmem, a krytyka to fałszywe ojcowsstwo toleruje, — niemniej krzywdę młodocianym talentom wyrządzając. Grubą zmysłowość i przesadę wyraził autor dobrze w scenie sądowej drugiego obrazu; drgają w niej istotnie Wieki Średnie; stanowi ona odrębną całość w całości. Kiedy Hans przyznaje się do stosunków z przygodnym nieprzyjacielem i ma za nie śmierć ponieść, Albert naśladuje wojewodę z *Mazepy*; ale syn go nie słucha, sam jeden uważa się za uczciwego „w całym narodzie“ (krakowsko-niemieckim) i na str. 136 mówi rozumnie i pięknie. Tożsamo powtarza się na str. 143. A potem już i w Albercie odzywa się prawdziwe gorąco odczute ojcowsstwo (str. 144). Wzruszającym jest także to, co mówi Albert na str. 195: „Dzieci! moje biedne dzieci“. Jako artysta lepiej się wcielił p. Kozłowski w Alberta, niż w Łokietka, i z większą go lubością opracowywał. Jest on wprawdzie w samym założeniu fałszywy, ale mu autor kilka razy nasypał w gardło sporo słów wymownych, a nawet pozwolił mu z prawdą i pięknem przemówić. Lecz i ta linia nie trzyma się prostego kierunku. Pyszny Albert-Brutus, Albert Arminius, — zabawia się na str. 199 w dziecinne groźby, na str. 201 w bardziej jeszcze dziecinne przechwałki, a umiera, jakby był z tektury.

Staralem się nie pominąć niczego, co się tylko wzbija nad ujemny poziom dramatu. Gdybym chciał wykazywać równie szczegółowo błędy rażące, miejsca naiwne, wiersze bez myśli, lub myśli tylko dla wiersza i rymu; gdybym chciał szczegółowo rozbierać wszystkie charakterystyki i zamierzał skłębione, poszarpane pomysły p. Kozłowskiego rozplatywać i wiązać w pewne całości — uwidoczniłbym tylko przez to oczom czytelnika przekonanie, które w dotychczasowych spostrzeżeniach ma już dostateczne dla siebie podpory. Kompozycja pozbawiona jest środka ciężkości. To co autor wziął z historii, choć przekręcone, ma więcej wartości, jako sztuka, od tego, co sam obmyślił. Jego Elżbiety, Bernardy, Małgosi, Muskaty, są wręcz jakimś strzygami i upiorami. Żaden charakter nie dotrzymany, bo ani jeden nie jest stworzony. W dialogach panuje zupełny bezład. Ludzie nie umieją mówić tego, co czują, a nie umieją czuć tego, co powinni. Autor wykłada sytuację, nie ludzi; fantazją historyczną osnawia na fantastycznej historii, a siląc się na od-

malowanie czasów i charakterów dawnych — czasów nie pojmuje, charakteryzując ubiera tylko w skóry pościągane z żywych osobistości. Jeżeli poecie wolno przystępować do Przyszłości z innym zamiarem i z innymi środkami, niż historykowi, to tylko pod tym jednym warunkiem, że nam da palające życie jednostek, życie, w którembyśmy, ludzie dzisiejsi, odczuwać mogli własne swoje jutrzeńki i zmierzchy, południa i ciemności, to, co sercem, co naturą swoją nazywamy. Tego p. Kozłowski nie spełnił: i ztąd też jego *Alberta* uważamy tylko za próbę, świadczącą o rzeczywiście, ale przeceniającą siły swoje, talencie. *In magnis et voluisse sat* — nie wystarcza sztuce. *Albert* pozostanie tylko zadatką, znakiem, miejscem zajętem przez coś, co może musiało być dla samego autora, ale mogło nie być dla powszechności.

Język jest wogóle dobry, dosadny, lotny, giętki, — nie braknie mu farb na palecie. Czuć wzory Słowackiego. O szkole tej świadczy zwłaszcza wiersz przez swą łatwość i ciągłość. Usterek już wytykać nie będziemy, tem więcej, że forma jest w p. Kozłowskim owiele wyższą od treści — i bezwarunkowo rozwijać się będzie już własną swą siłą. Pragnęlibyśmy tylko zwrócić uwagę autora na te wyrazy, które oddają nazwy rzeczy i pojęć anachronistycznych, jakie nie istniały w danym miejscu i czasie. I tak: *Albert* woła do Łokietka „Ojciec Ojczyzny“ (str. 32). Muskata mówi o odaliskach i rusalkach (str. 59); Bernard o mirażach pustyni (str. 67.) Małgosi używa do porównania Turczynki — w r. 1311 w Krakowie (s. 75). Łokietek jest „Władką“ (s. 97, 119, także 25) Floryan nazywa siebie „Lachem“ (str. 102). Niemiec Muchov na str. 125 złego ducha nazywa „ksienią“. Ranni żołnierze mają być przeniesieni w (!) lazarety (str. 173). Lud niemiecki w Krakowie krzyczy „Urra!“ (str. 193). Ciało wójta mają przynieść koniecznie „dobosze“ (na nosze! str. 210). *Alberta* nazywa Łokietek „prowidyrem“ (str. 217). Wreszcie sam szyszak jest mocno podejrzanym str. 277).

Błędów językowych naliczyłem kikanasć.

Stanisław Krzemiński.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 31 Maja 1887 r.

Maj i skargi na niego. — Cudza bieda łagodzi własne cierpienia. — Karaklizmy i powszechna bieda. — Spalenie się Opery Komicznej w Paryżu. — Czyja wina? — Poseł Steenackers i minister Berthélot. — Proroctwo urzędowe. — Przebieg wypadku i fizioznomia bulwarów. — Odwrót na strona. — Wystawy na Polach Elizejskich. — Wystawa kwiatów; rajski przepych. — Wystawa Sztuk Pięknych. — Wielkie rozczarowanie co do Francji. — Artysty polscy. — Pociągające zjawisko. — Panna Bilińska; znakomity jej portret własny. — Nagroda w medalu. — Wystawa poświęconia obrazów Millet'a. — Jak należy sądzić tutejsze reklamy. — Upadek ministerium Goblet'a i dziwne zmiany. — Polityka i fantazja — Pamiętniki księcia Adama Czartoryskiego.

(Dokończenie).

Na tych polach mamy aż dwie wystawy doroczne: wystawę kwiatów i wystawę sztuk pięknych. Przyznam się, że wolę wystawę kwiatów. Matka natura, jak najlepsza mama, nie zawodzi nas nigdy, a kiedy chce nas olśnić, to już olśni naprawdę. Nie mam słów, nie mam wyrażen, abym wam mógł opisać to co czuję w tej chwili, wychodząc z tej zaczarowanej krainy. A! prawdziwie to kwiaty z Pól Elizejskich! To nie z tego świata — nie z naszych biednych ogródków to cuda natury. Róż tak ogromne, jak nasze piwonie — a subtelne, a powietrzne, przejrzyste — a pachnące przecudnie! O orchideach nawet już mówić nie mogę — bo to zamorskie, a dziwne — przestraszające czasem, blaskiem i formą. Ale oto *bratki*... podniesione do niesłychanej potęgi. Ogromne jak dłoń ludzka, białe, aksamitne, nakrapiane czerwono, jakby krwią ukochanej, czerwone, z białymi łzami — a te ciemno — fioletowe, prawie czarne, z pomarańczową plamą we środku. I tak wszystkie barwy, wszystkie odcienie,

wszystkie, a wszystkie kwiaty—a każdy z nich przypomina coś w życiu; bo jak pieśń, tak kwiaty... te wieczne niezgasłe pamiątki, boleśnie czasem—drogie zawsze, bo czy to w szczęściu, czy w cierpieniu, było to zawsze życie!

Z niechęcią więc ztąd się wyrwam i dążę na tę drugą, sąsiednią wystawę sztuk pięknych. Już to zespolenie tych dwóch wyrazów, drażni mój umysł—*Sztuki piękne!*... prawdziwie piękne—to te właśnie, które tylko co zostawiłem za sobą—a te sztuki—ach! doprawdy nie piękne, a często brzydkie,—ale jak!

Tutejsi artyści, którzy mówiąc o sobie, nie mają dosyć słów, aby wyrazić całe uwielbienie wzajemne dla siebie—na tej wystawie—zdaje się, że się sprzysięgli rozczarowywać publiczność—tak dalece, że ci nawet, którzy uchodzą za mistrzów, nie doszli do zwykłej miary; a są tacy, którzy się widocznie wstecz zapędzili. Taki Chapelin, który tak zachwycił dotąd pleć piękną swymi portretami, na których każda z nich była aniołem piękności—ten Chapelin pokazuje nam jedną... z hurysk Mahometa zapewne—bo naga i leżąca, tonie w jakichś obłokach ze śmietanki i truskawek. Popiersie też obłocznej huryski wykończona,—i jak zawsze u Chapelina—różowe, błyszczące, uśmiecha się przyjemnym buziakiem: reszta—jak powiadam—rozprysła się w truskawkach ze śmietanką. Cóż to znaczy? czy to można nazwać obrazem? A ta Kleopatra Cabanella?—a ten obraz niesłychany Jaquet'a?—a Carolus Durand? Nie—zaprawdę, spadamy na dół; jeszcze kilka lat takiego postępu—i trzeba będzie ustąpić z pola popisów!... A! biedna ty Francjo! gdzież są owe twe drogi, po których ongi prowadziłaś świat cały—i prowadziłaś, zaprawdę—do blasku i chwały? Takie jest ubóstwo na tej wystawie, że nie mogę tu wam powiedzieć, nie mogę wskazać ani na jeden obraz, ani na jedno dzieło i powiedzieć: oto jest, co może zaspokoić oczy, zadowolnić ducha i pogodzić ze sztuką, jak ją dziś pojmują we Francji. Jeśli nie mogą nam nic dać nad to, co widzimy i słyszymy; jeśli Renée p. Zoli ma być ostatnim wyrazem sztuki dramatycznej, a takie obrazy i rzeźby, jakie widzimy na tej wystawie, mają stanowić dla nas renowację sztuki w ogólności—owo niby *nouveau jeu*: to ja zaraz proszę, aby mi pozwolono wrócić do tej starej, pocziwej gry—gdzie grano, poważnie, a nie na pacierze—jak mawiali nasi starzy.

Mam przecie pociechę i mogę przecie jak Benedek, odnalazłszy jakiś pułk na miejscu,—powiedzieć do pułkownika: *Da hab' ich einen Mann!* Mam człowieka, mam artystę—a tym artystą, jest panna Bilińska—kobieta i Polka. Jestto portret artystki, i przez nią samą robiony. Cóż-bym wam mógł o tem powiedzieć, abyście mogli uczyć i zrozumieć, co jest w tym obrazie? Jestto jedno z tych dzieł, które zostaną. Jeden z najlepszych obrazów na całej tej ogromnej wystawie—to jeszcze niewielka pochwała; ale jest to jedno ze znakomitszych dzieł Sztuki Polskiej naszego wieku—i tu nie wyjmuję nikogo,—a przecie jest to tak proste, tak skromne, a tak sumiennie wykonane dzieło! I tą właśnie prostotą środków i sposobów—zdobywa sobie pierwszeństwo i przewodzi wspomnienie najpiękniejszych utworów pędzla. W tem jest jej chluba. Doskonale rysowany i malowany portret ten nie ma żadnej a żadnej styczności z tem, co go otacza,—jest więc z innej szkoły; przypomina doskonałych malarzy francuzkich, ale XVIII wieku. Zkąd więc?—powiadam ja, że artystka młodość spędziła gdzieś z ojcem na Uralem. Z portretu widać, że nie jest to już młoda zupełnie kobieta; w rysach, w oczach widać cierpienie. Artystka zresztą, nieznaną do dzisiaj występuje z pierwszym dziełem i bez żadnej protekcji otrzymuje medal 3-ciej klasy. Jestto prawdziwy zaszczyt i prawdziwy talent, wiele obiecujący.

Szkoła polska, chociaż skromna co do liczby artystów—jak widzimy—nie pozostała w tyle, dzięki pannie Bielińskiej i dzięki tym jeszcze, o których zaraz wspomnę. Pierwsze tu miejsce należałoby się najpierwszemu ze wszystkich. Znać obraz Matejki „Joanna d'Arc.“ Figuruje on na tej wystawie i nawet wśród francuzkich obrazów, których malarze zazwyczaj nie żałują

plótka, zadziwia swoim ogromem. Jak w każdym dziele krakowskiego mistrza, są tu szczegóły wielkiej, artystycznej wartości. Zaraz widać, że malarz, jestto *Ktoś*. Nie będę opisywał ani układu, ani szczegółów, bo przypuszczam, że to są rzeczy znane, powiem jedynie, jakie ten olbrzymi obraz robi wrażenie na wszystkich, bez wyjątku, nawet tych, którzy są hołdownikami talentu Matejki. Potężny,—inni powiadają „ciemny“ koloryt tego obrazu, ciemny wobec tego, co go otacza tu, gdzie każdy sady się na jasność, na słońce, na blask jaknajwiększy—sprawia wrażenie, jak-gdyby kto stary szerniał obraz XVI-go wieku zawiesił w nowożytniej galerii. Cały ten tłum orszaku i widzów, który otacza Joannę, tak szczerze wypełnia obraz, że oko nie może znaleźć punktu oparcia, brak zupełny perspektywy, brak powietrza i światła, nadaje utworowi pozór starej pięknej średniowiecznej makaty. Francuzi byli dosłownie przestraszeni tem dziełem Matejki, a nie chcąc powiedzieć co czuli, zbyli je powszechnem milczeniem.

Po mistrzu, uczeń; p. Styka, przedstawia nam w tym roku: *Prorokinię Oldę* (Hulde), przepowiadającą nieszczęścia w Izraelu. Piękny to i poważny obraz—nie braknie mu jasności i światła, ale, aby powiedzieć prawdę, mało jest dla nas zrozumiała ta sztuka odbudowywania przeszłości tak dalekiej, jak przeszłość izraelska. Zapewne wybór przedmiotu jest niezaprzeczonem prawem artysty; ale artysta polski? czyż nie ma swoich proroków i nieszczęść chwały? Ten tylko jeden robię zarzut p. Styce, bo artysta rozporządza takim zasobem talentu i wiedzy, że mamy prawo mu powiedzieć: Jesteś nasz. A więc, miej serce i patrzaj w serce! Wszyscy cię wówczas zrozumieją, i zajdziesz daleko!

P. Gąsowski, ze swoim widokiem piaszczystych wydm Girondy (les Landes), wśród których się przechadza się pastuch na ogromnych szczudłach, mniej nas zadowolnił niż dawniej; nie widzimy tu wcale postępu naprzód; szare to, mgliste i, jak tu powiadają, jakby z baweln.

Cóż powiedzieć *de minimis*, jak p.p. Chelmiński, Roszczewski, Alchimowicz, Axentowicz, Brzeski, Przepiórski, Merwart? Gina oni wśród tego nawału miernoty, która ich otacza, i z której widocznie wydobyć się sił nie mają; ani jednego rzutu pendzla, ani jednej osobistości myśli, nie, coby nam powiedziało: oto polski artysta. Jeden tylko p. Karbowski, ze swymi szczegółami dekoracyjnymi, daje poznać wyższą technikę i wyższą znajomość sztuki, ale też nawskroś francuzkiej.

Ani Brandta, ani Siemiradzkiego, ani Chelmońskiego, ani Kessaków, ojca i syna: czyżby polscy artyści zalegali pole? Przecież są tu serca, które ich zawsze gorąco witają. Są tacy, dla których oni są prawdziwą pociechą, czemuż zapominają o tem? A więc przypominam panom braciom i razem—napominam!

Z jaką ostrożnością należy czytać i jak potrzeba rozumieć to, co Francuzi mówią i piszą o swoich artystach, posłużyć nam może wystawa dzieł nieboszczyka Millet'a, urządzona niby przez wielkich wielbicieli tego malarza, a rzeczywiście przez kupców, a raczej kupecznych obrazami, na bruku paryżkim.

Słowo tu o samym artyście, którego znałem osobiście. Była to natura pocziwa, zacna, trochę leniwa, a nawskroś chłopyska, wtem znaczeniu, jakie jej nadają we Francji, wtem znaczeniu, pochodząc z rodzin mieszczańskich, przez pewien rodzaj dumy, pragną się otrząsnąć z tego, co oni tu nazywają *bourgeoisie*, zwracają do chłopskich niby obyczajów, ale powierzchownie tylko. Mieszkał on we własnej chacie, którą kupił sobie w jednej z wiosek, co się rozsiadł na podłasiu fontainebleau'wskim i tam pościwał się studjum z natury, do czego go usposabiał, jak mówiłem, trochę leniwy temperament i naturalny pociąg do wyłamania się z form i obyczajów, jak je nazywał, mieszczańskich. Przy uczuciu bardzo artystycznym, brakło mu kompletnych i sumiennych studyów; w pierwszej młodości odbywał je trochę dorywczo i bez wielkiegoładu; ztąd wyniknął skutek, że w jego obra-

zach obok wielkich często zalet, prawdziwego artystycznego uczucia, znajdują usterki, jakby niedoświadczonego i niezupełnego wykształcenia, a ztąd wady i uchybienia.

Za życia obrazy jego nie miały wielkiej wartości, bo obok byli artyści, którzy, wychodząc z tegosamego, co on, założenia, to jest z nasładownictwa wiernego natury i chłopstwa (*paysannerie*), daleko wyżej stali, jako artyści. Nie było więc tam wielkiej zamożności w tej chacie, ale choć była żona i dzieci, nie było też i niedostatku. Artysta zresztą produkował wiele—i choć się to nie sprzedawało na wagę złota, zawsze grosz płynął do chaty.

Nie zostawił majątku, to prawda, a dawni przyjaciele i koledzy, chcąc pomódz wdowie, urządzić postanowili wystawę dzieł jego, jak to jest teraz w modzie.

W liczbie tych przyjaciół znalazł się niejaki p. Fillet, sąsiad i przyjaciel nieboszczyka ze wsi i zdawnych czasów; kiedy Millet, rad był zbyć jaki obraz niewielkich rozmiarów, przyjaciel Fillet, zawsze był gotów z kaletką i za umiarkowaną cenę sporo nabył obrazów artysty. Zachęcał on i pierwszy podbił bębenka do utworzenia tej wystawy; zażądano od amatorów łaskawego udzielenia dzieł artysty, największa część ich była u kupujących obrazami. Zrećznie ujęta i zaproszona do kompanii prassa paryzka, odpowiedziała z pośpiechem, posypały się artykuly pochwalne, wyniesiono zmarłego pod niebiosy, nie było mu równego. Stworzono legendę: malarza z żoną i dziećmi umierającego z głodu, kiedy zostawiał po sobie dzieło milionowej wartości!

Rząd udzielił uprzejmie salonów Szkoły Sztuk Pięknych, dla tej wystawy; zebrano kilkaset obrazów i rysunków artysty; ale gorący protektor Fillet nie przybył na wystawę ze swymi skarbami. Zrobił on lepiej, kiedy rzecz opublikowana, otrąbiona, stała się publiczną, kiedy imię Milleta stało na równi z najpierwszymi mistrzami, wówczas ten zacny Fillet udał się do hotelu publicznej sprzedaży i rzucił na licytację całą swą galerię Milletów, które rozkupione zostały skwapliwie, przez zagrzanych ku temu miłośników narodowej sztuki. Tak-to sławny ów niby *Anioł Pański* (Angelus), przedstawiający rolnika i jego córkę, czy żonę, stojących w polu i odmawiających „Anioł Pański“, przysłany na tę wystawę i zabezpieczony na sumę 300,000 fr., nabył odrazu niesłychanej wartości w oczach ludzi, którzy więcej patrzą na pozory, niż na rzecz samą. W istocie, obraz ten nie wart jest nawet tych 70,000 franków, które zań zapłacił na sprzedaży Filleta dzisiejszy jego właściciel. Trzeba więc brać ostrożnie, co zkąd pochodzi—bo często, co jest pod spodem, może zmienić cały stan rzeczy... Cała ta wystawa, którą zwykła ciekawość tak licznej publiczności paryżkiej sówicie zasila, dowodzi jasno, że Millet, jeżeli był artystą i malarzem posiadającym pewien talent i pewną konieczną wprawę, to po tak długim zawodzie nie miał bynajmniej ani tak wielkich zalet, ani tak wysoko posuniętego talentu, jakimi go obdarzyli przyjaciele i zbyt powolna na ich żądanie prassa paryzka.

Co jest niezaprzeczoną prawdą, to należy powiedzieć, żywym i umarłym: z wyjątkiem kilku obrazów, które bez zaprzeczenia mają pewną wartość artystyczną—reszta jest takiej miernoty, co do kompozycji i co do wykonania, że większość ciekawych opuszcza tę wystawę, pytając się siebie: kto tu ma racyą, czy dziennikarze i kupcy, czy oni, którzy to się wydzielają dalekiem, od tych hyperbolicznych pochwał?

Dziwnie ruchliwa i żywa wyobraźnia tutejszych ludzi we wszystkich wypadkach publicznych i prywatnych odegrywa rolę niesłychanie ważną; z ztąd wypadkom, rzeczom i ludziom nadaje często najfantastyczniejsze rozmiary. Temu-to czynnikowi przypisać należy owych dwadzieścia kilka ministerjalnych lunacyi, jakie się tu odbyły w przeciągu lat 16 czy 17-tu i z których ostatnia, Gobleta, przeszła do wieczności, wraz z Boulangerem, uważanym dotąd, jako palladium, którego nie wolno było się dotknąć... A jednak dotknięto się, a dzięki spaleni się Opery Komicznej, katastrofa ministerjalna, jak tyle innych rzeczy, nie zwróciła na siebie takiej uwagi,

na jaką zasługiwała. Złośliwi ludzie powiadali nawet, że polityczni wicherzyciele kazali umyślnie podpalić ten teatr, aby, korzystając z tego wypadku, odwrócić publiczną uwagę od owych praktyk parlamentarnych i ministerjalnych. Są to wymysły tylko, ale przytem i rzecz niezawodna że ten wypadek, tak głęboko poruszył Paryżan, iż cała ich uwaga dzisiaj zwrócona jest jedynie ku temu, co się tam dzieje za temi parkanami, które otaczono te resztki dymiących gruzów. I nie można się dziwić, bo, jak mówiłem na początku, jest to straszliwy dramat... Tymczasem dotąd jeszcze nowe ministerjum nie mogło się złożyć, bo nikt sobie obiecywać nie może długiego żywota. Goblet trwał 6 miesięcy, a bywały takie ministerja, które nie żyły i miesiąca. Najdłużej trwało owo Tonkińczyka Ferry'ego, bo przeszło dwa lata. Gambetta nie trwał dwóch miesięcy. I cóż tu można począć, i jak ci ludzie mogą na kogoś obcego raczować, kiedy ten nie wie: z kim jutro będzie miał do czynienia?

Zdaje się jednak, że Rouvier, oportunistą podsztytym radykałem, człowiekiem z Marsylii, utrzyma się przy portfelu, który Grévy złożył w jego ręce; zobaczymy jak długo to potrwa; główna rzecz była wyparować z rządu Boulanger'a, zastąpić jego miejsce generał Ferron. Dziwni to ludzie!—tutejsi ludzie! Jedyn tylko był człowiek nieprzyjemny Bismarkowi i drażniący jego nerwy, jeden Boulanger, i tego właśnie się pozbyli. Gdzieindziej byłby to powód do wytrwania, do stałości; tutaj są szczęśliwi i radzi, że się pozbyli kłopotu!

Nie wychodząc z politycznych kręgów, zapiszmy tu nową książkę—nie dlatego, że polityczna i dyplomatyczna zarazem—ale, że jest naszą z treści i z autora—wyszła tu świeżo na świat, u wydawcy Plona—*Pamiętniki księcia Adama Czartoryskiego*—dwa tomy pierwsze... czy będzie ciąg dalszy?—nie wiem; tom II zatrzymuje się na 1812 r. Powiedziałem, że to jest dzieło polityczno-dyplomatyczne. Tak jest w istocie. Nie są to pamiętniki, pisane z dnia na dzień pod pierwszym i żywym wrażeniem—nie! Są to wspomnienia człowieka, który, przebiegając myślą wypadki całego życia, pisze je dla potomności—z tą rozważą i z tą wstrzemięźliwością pióra—jaką powinien mieć wytrawny mąż stanu, jakim był bez zaprzeczenia ks. Adam Czartoryski. Nie należy więc tu szukać tych drażliwych, wzruszających opowiadań o tem, co każda chwila przynosiła.

Czy jednak dla tego pamiętniki przestają być ciekawymi?... Nie—owszem, mają one tę wielką doniosłość, iż pokazują nam, jaką drogą musiał przejść umysł autora, zanim potrafił streścić to wszystko—na co patrzył, w czem przyjął udział, i co osądził po spełnionych faktach. Oprócz tej metody samego autora—musi tu być i praca jego następcy i wydawcy: syna księcia Władysława, mamy więc przed sobą wydanie przejrzane i poprawne i przez samego autora i przez wydawcę a nakoniec przez Francuza Mazadé'a, jednego z redaktorów: *Revue des deux Mondes*—który też swoje dodał trzy grosze, choćby tylko co do wyrażen tyczących się samego języka—bo zapomniałem powiedzieć, że książka jest pisaną po francuzku.

Ale mniejsza o to. Jakkolwiek alembikowano te wspomnienia,—zawsze w nich został ślad człowieka, który był wskroś Polakiem aż do szpiku i kości—i ten ślad jest widocznym dla tych, co potrafią czytać te ważne i ciekawe pamiętniki nie tracąc z oczu tego, kto to był ich autorem?

Ważne, bo są tu oryginalne i niewydane korespondencje z cesarzem Aleksandrem I-szym i z wielu innemi osobami, wielkiego znaczenia; ciekawe, bo dostojny autor patrzył z blizka, na najważniejsze wypadki swojego czasu; miał sposobność widzieć jasno i dokładnie powiedzieć,

co widział—a jeśli nikt tu nie może się żalić na cierpkie lub zbyt ostre prawdomówstwo autora,—to tem lepiej. Rzeczy tak poważne zyskują na tem, gdy są opowiedziane poważnie. Jednem słowem: jest to dzieło poważne—przyczynę do naszej historii dziewiętnastego wieku, niezmiernie pożyteczny, i pewien rodzaj autobiografii, pisanej bez poży i bez zamiaru wynoszenia się ponad wypadki i ludzi. Znajdą się zapewne tłumacze chętni—bo gotowych na to nie brakuje w otoczeniu dostojnego wydawcy. Czekajmy więc spokojnie; może w polskim stroju zrozumiemy się lepiej.

Kronika działalności kobiecej.

— Stowarzyszenie pań Sw. Wincentego à Paulo, pragnąc, jak lat innych, wysłać na wieś chorych swoich, przychodzących do zdrowia, lecz potrzebujących jeszcze pokrzepienia sił na świeżem powietrzu,—zwraca się do osób na wsi zamieszkałych z prośbą, aby zechciały udzielić im kilkotygodniowej gościnności. Nie wybredni to są ci goście, i przyjęcie ich nie pociąga za sobą ani kosztów, ani zachodów zbyt wielkich, a spełnia się uczynek dobry. Do pań wiejskich, do gospodyń domów, zwraca się głównie głos tej prośby, bo w sprawach takich stanowi zwykle kobieta. Listy z oznajmieniem dobroczynnej swej chęci adresować należy do Zakładu Sióstr Miłosierdzia na Tamce.

— Jak ważny wpływ umoralniający i społeczny mogą wywierać na lud wiejski panie nasze, wykazuje fakt podany przez *Gazetę S. iętczną*. H. Gryzewska, właścicielka wsi Rużyce w Powiecie Łęczyckim, zachorowała i dla potrzebnej operacji musiała udać się do Warszawy. Otóż służba dworska, a wraz z nią i wieśniacy rużyccy, zebrali między sobą składkę i dali na nabożeństwo, któreby odprawiło się w parafialnym kościele w Leżnicy w dzień operacji, przyzywając dla chorej łaskę Boga. Prócz tego służba dworska oświadczyła, że nie wymaga teraz należnych im zasług z uwagi, że wydatki państwa są obecnie większe i domownicy poczekać mogą. Fakt to nie tylko wzruszający, ale i pouczający. Rużyce to nie jakaś szczęśliwie wyjątkowa kraina nadobłoczna—to wieś nasza, którą zamieszkuje tak w chatkach, jak we dworze, ludzie postawieni w tych samych, co wszyscy, warunkach—żyjący wśród tych samych okoliczności.

— Księżna Hohenlohe, córka zmarłej księżny Wittgensteinowej, w liście pisanym do Redakcji *Kroniki Rodzinnej* doniosła, że nieboszczka na na kilkanaście dni przed śmiercią wykończyła dwudziesty piąty i ostatni tom teologicznego swego dzieła, lecz przez testament zastrzegła sobie, aby dopiero we dwadzieścia pięć lat po jej śmierci drukiem ogłoszone zostało.

— Na 10,679 osób studyjących w Uniwersytecie Paryżkim, było w ubiegłym roku szkolnym kobiet 167, z tych najwięcej, bo 108 studyowało medycynę, 51 uczęszczało na wydział literacki, nauk ścisłych słuchało 7, prawnych 1. Według sprawozdania rocznego, przedstawionego ministrowi oświecenia przez radę wszystkich połączonych fakultetów, studentki te odznaczały się wielką pracowitością i pilnością w uczęszczaniu na wykłady, czego nie można powiedzieć o studentach; mniejszość tylko słucha wykładów regularnie, examina większości są niezadawalniające, pracowitość również.

— Cywilne prawo kobiety francuzkiej weszło

w bieżącym roku na porządek obrad *Zgromadzenia Narodowego*, wniesione do Izby przez jej wiceprezesa, Ernesta Legouvę i mając zepewnioną sobie przychylność wielu członków tak tu, jak w Senacie. Kobieta francuzka używa pewnych praw cywilnych, ale tylko w zakresie swych spraw osobistych. Wdowa, lub niezamężna, może kupować, sprzedawać i dzierżawić, prowadzić handel, wytaczać sprawę w sądzie, lub bronić się przeciw akcyi takiej. Przecież nie może występować jako świadek w żadnej sprawie cywilnej, lub kryminalnej; wyjąwszy, gdy jest matką lub babką małoletnich, nie może sprawować opieki, ani należeć do Rady Familijnej. Dopiero niedawno przyznano kobiecie, prawnie rozdzielonej z mężem, pewne osobiste prawa cywilne, które utraciła mężatka i to po kilkunastu i bardzo gorących rozprawach w senacie. Zastrzeżono jednakże, aby to rozszerzenie praw dotyczyło tylko takiej separatki, która nie w skutek winy swojej separacji uległa. Tu, ze względu na dzieci i ich majątek, na godność rodu, prawodawstwo francuzkie ma za sobą powagę słusznej ostrożności. Kobieta lekkomyślnych obyczajów nie może być dobrą tego wszystkiego strażniczką.

— Prawo męża do otwierania i czytania listów żony były rozbierane w Paryżu na konferencji zgromadzonych prawników francuzkich. Uczzone grono uznało, że według ducha praw francuzkich prawo to przysługuje mężowi.

— Akademia francuzka przyznała palmę akademicką i tytuł: „Officier de l'Académie” Minnie Hauk za zasługi położone na polu muzykalnej sztuki francuzkiej.

— Ku czci Karoliny Popp, Belgijki, która przez lat pięćdziesiąt była w Bruges naczelną redaktorką dziennika: „Journal des Bruges”, wyprawioną została przez dziennikarstwo belgijskie uczta jubileuszowa i chociaż tak ona sama, jak i jej dziennik, należy do pism liberalnych, przez uznanie jej zasług literackich i cnót obywatelskich całe dziennikarstwo i większa część literatów bez różnicy przekonań politycznych wzięła udział w uroczystości, do której zasiadło 80 osób. Redaktor dziennika: „Précurseur” wniósł toast: „Za cześć i zdrowie lwicy Flandryi”, która to nazwa odnosiła się przecież nie do tych szczególności, jakimi odznaczają się pewne koło kobiet, zwanych emancypantkami, ale do niespożytych sił umysłu i ciała, do odwagi i mężkiej dzielności jubilatki. Objęła ona swój urząd redaktorski d. 4 Kwietnia 1837 r. i jej redaktorska działalność jest tylko siedm lat młodszą od niepodległości Belgii, do której utrzymania przyłożyła się ona niemało przez gorący i nad wszystkie inne uczucia górujący w niej patryotyzm, który szczepiła w serca ludzkie przez lat 50. Oprócz dziennikarskiej działalności i bardzo pięknych artykułów naczelnych, które stale pisywała, ma ona i literackie zasługi, jako powieściopisarka. Powieść jej „Natalia” była tłumaczoną na język niemiecki. Pisała też dla dzieci i jej „Legendy i powiastki Flandryjskie”, pełne miłości swego kraju i oparte na historii walk Flandryi z Hiszpanią, były tłumaczone na język francuzki i angielski. Przy uczcie ofiarowano jubilatce jako pamiątkę kopię płaskorzeźby Henryka Chapu „Myśl.”

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 12-ty powieści pod tyt: **Konieczność**, przez M. E. Braddon; oraz arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona.

TREŚĆ: Z Cyklu „Nad głębinami”, poezja, przez El...y. — Mikołaj Zyblikiewicz, (dokończenie), wspomnienie pośmiertne. — Filistry, powieść (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicz. — Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Wystawa higieniczna, (dział wychowawczy), (dalszy ciąg), przez Wł. Nowickiego. — Dramata konkursowe, II, (dokończenie), przez St. Krzemińskiego. — Nowiny paryżkie, (dokończenie).. — **Kronika działalności kobiecej.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Konieczność**, przez E. Braddon; oraz arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona. — 38 wzorów ubiorów i robot z opisem Sekretu go-podarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Доводено Цензурою. — Варшава, 3 Іюня 1887 года.

Korónka szydełkową robotą.

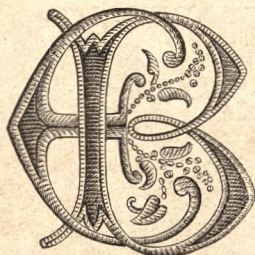
Ręčna Nr 19 w Blu. Nr 22.

Na 42 ocz. założenia, przerabiać tam i z powrotem: Kolej 1: 8 o. opuścić, 7 razy naprzem.: 1 sł. w następ. o., 2 pow. o. opuszczając 2 o., 4 sł. w następne 4 o., 3 razy naprzem.: po 2 pow. o., 1 sł. w 3 z rzędu o. Kolej 2: 6 pow. o., 3 o. opuścić, 2 razy naprzem.: 1 sł. w następ. sł., 2 pow. o., poczem 19 sł. w następ. 19 o., 3 razy naprzem.: 2 pow. o., 1 sł. w trzecie o. z rzędu. Kolej 3: 6 pow. o., 3 o. opuścić, 2 razy naprzem.: 1 sł. w następ. sł., 2 pow. o., 4 sł. w następ. 4 sł., 8 razy naprzem.: po 2 pow. o., 1 sł. w 3 z rzędu o. Kolej 4: 6 pow. o., 3 o. opuścić, 2 razy naprzem.: po 1 sł. w kolejny sł. 2 pow. o., poczem 13 o. pow. w kolejne 13 ocz., 2 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, 4 słup. w kolejne 4 słup., 3 razy naprzemian: po 2 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu ocz. Kolej 5: 6 pow. ocz., 3 o. opuścić, 2 razy naprzemian, 1 słup. w następny słup., 2 pow. ocz., poczem 4 słup.

ścić, 4 słup. w kolejne 4 słup., 3 razy naprzemian po 2 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu ocz. Kolej 8: 6 pow. ocz., 3 ocz. opuścić, 2 razy naprzemian: po 1 słup. w kolejny słup., 2 pow. ocz., 4 słupki w następne 4 słup., 2 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, 13 słup. w kolejne 13 ocz., 2 razy naprzemian po 2 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu ocz. poczem 2 pow. ocz.; na ząbki 22 słup. z których dwa środkowe rozdzielone 3 pow. ocz., w 10 pow. ocz. poprzedniej kolei, w końcu 1 ścis. ocz. łańc. w te oczko szlaczka, w którym wypadło wykonać ostatni słup. Kolej 9 na ząbki podług wzoru: 3 ścis. ocz. łańc. w 3 kolejne żyłki brzeżne szlaczku, 11 słup. w kolejne 11, 6 sł. z których środkowe 2 przedzielone 2 pow. o., w następ. 3 pow. o., 11 sł. w następ. 11 sł., poczem na szlak 7 razy naprzemian 2 pow. o., 1 śc. o. w 3 z rzędu ocz., poczem 2 pow. ocz., 4 sł. w kolejne 4 słup., 3 razy naprzemian: 2 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu ocz. Kolej 10 na szlak powtarzać 2 do 9 kolei, na ząbki 6 razy naprzemian po 2 pow. ocz., 1 słup. w 2 o.



Nr 1. Żławka „Figaro“ z dzżstowego tiulu.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XVIII, fig. 66 — 68.



Nr 2. Znak haftowany.



Nr 3. Suknia z gładkiego i w deseń kretonu.



Nr 4. Suknia z etamiay. (Do ryc. 4 w Bl. Nr 23). Opis odwr. str. tabl.



Nr 5. Pelerynka chusteczkowa. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 46 i 47.

z rzędu każdego ząbka, poczem 2 pow. o., 2 słup. po każdym 3 pow. ocz., w kolejne 2 pow. ocz., 7 razy naprzemian po 2 pow. ocz., 1 słup. w 2 z rzędu ocz., podług ryciny 1 ścis. łańc. ocz. w brzeżne ocz. szlaczku. Kolej 11 podług ryciny: 3 ścis. o. łańc. w 3 kolejne oczko szlaczku, 7 razy naprzemian 2 słup. w następne 2 pow. o., 1 pikot (to jest: 5 pow. ocz. i 1 ścis. ocz. w poprzedni sł.) 4 sł., środkowe 2 rozdzielone pik., w najbl. 3 pow. ocz., 7 razy naprzem.: 1 pik., 2 sł. w następ. 2 pow. o., zamiast pierw. 6 pow. o. szlaku, tu wykonać 1 słup., zakończyć kolej jak poprzednio, powtórzyć 5 kolej szlaczku podług opisu poczem przed każdą 6 koleją 10 pow. ocz.

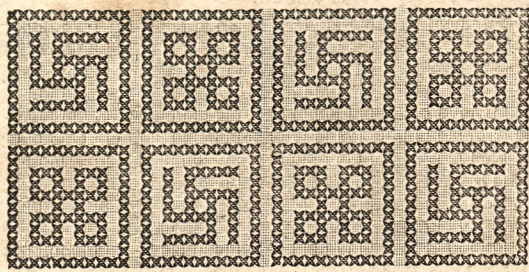
w kolejne 4 słup., 2 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, 4 słup. w kolejne 4 słup., 2 pow. ocz. 1 słup. w 3 z rzędu ocz., 2 pow. ocz., 2 o. opuścić, 4 słup. w następne 4 słup., 3 razy naprzemian: po 2 pow. ocz., 1 sł. w 3 z rzędu ocz. Kolej 6: 6 pow. ocz., 3 ocz. opuścić, 2 razy naprzemian: 1 słup. w kolejny słup., 2 pow. ocz., następnie 4 słup. w kolejne 4 słup., 2 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, 7 słup. w kolejne 7 słup., 2 pow. ocz. 4 słup., 3 razy naprzemian po 2 pow. ocz. 1 słup. w 3 z rzędu ocz. Kolej 7: Na ząbki dolne 10 pow. ocz., dalej na szlaczek 3 razy naprzem.: po 1 sł. w następ. sł., 2 pow. o., poczem 4 sł. w następ. 4, 2 pow. o., 1 sł. w następny sł., 2 pow. o., 2 ocz. opu-

tak jak w pierwszej kolei ząbków, robiąc je w następnych 4 kolejach, przyczem należy łączyć każdy ostatni pikot jednego ząbka z pierwszym drugiego.

Szlaczek na ręczniki, serwety i t. p.

Rycina Nr 28 w Blu. Nr 22.

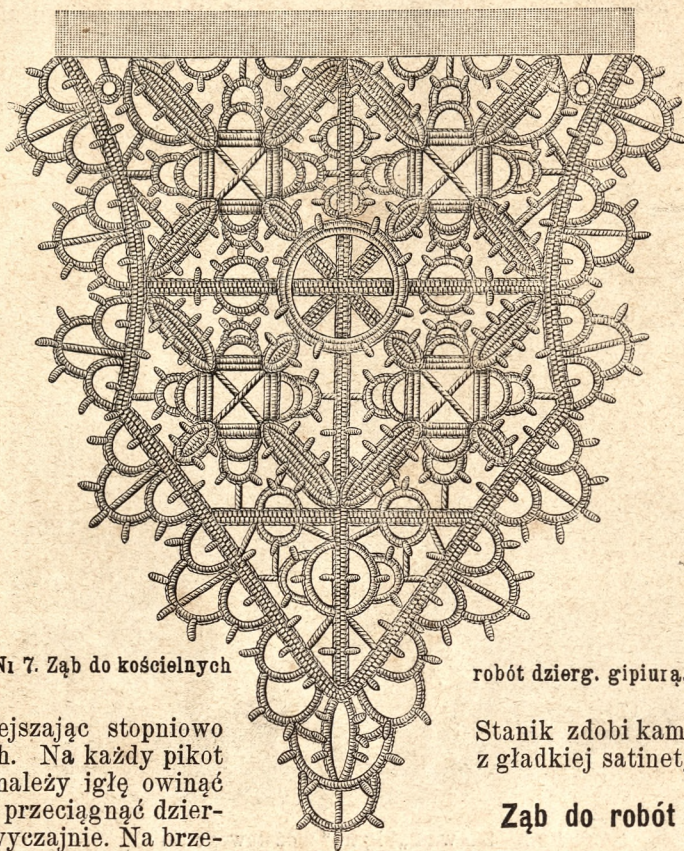
Szlak wykonany na grubym płótnie niemi i złotym kordonkiem. Na środkową część wycięć podług ryciny kwadraty 75 cent. wielkie, zostawiając tyleż tkaniny pomiędzy jednym a drugim wycięciem. Brzezi wycięcia obrzucić kordonkowym ścięciem



Nr 6. Szlak do r. 8 w Bl. Nr 23 krzyżowym ścięciem.



Nr 8. Koszyzek na sprawunki gospodarcze.
(Po ryc. 9).



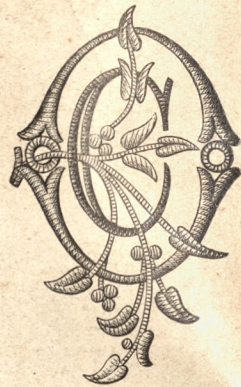
Nr 7. Ząb do kościelnych

robót dzierg. gipiurą. oznaczone * należy po lewej stronie poczepiać i przyszyć do spódnicy. Stanik zdobi kamizelka i stojący kołnierzyk z gładkiej satyny, w wązkie pliski ułożony.

Ząb do robót kościelnych dzierganą gipiurą.

Rycina Nr 7.

Przerysowawszy deseń na kalkę, należy takową przyfastrzygować na ciemnej ceratce, poczem wzdłuż konturów należy poprowadzić nitkę średniej grubości, przymocować takową poprzecznymi ścięgami, powypreżać nitki stanowiące połączenie deseni, częścią obdzierać takowe, wykonując przytem pikoty podług wzoru, częścią wykończyć okrętą, poczem wszystkie koła i półkoła deseni wykończyć w ten sam sposób, jak brzeżne kontury.



Nr 12. Znak haftowany.

i wykonać gwiazdkę ścięciem dzierganym na podstawie przeprowadzonej między każdym trójkątem na który w pierwszym rzędzie wykonać 11 ścięgów dzierganych, zmniejszając stopniowo ilość ścięgów aż do dwóch. Na każdy pikot w narożnych półkołach należy igłę owinać 10 razy niemi, następnie przeciągnąć dziergając w dalszym ciągu zwyczajnie. Na brzeżne szlaczki wyciągnąć w odstępach 11 nitek od środkowego deseni po 36 nitek z każdej strony, poczem wykonać szlaczek ścięciem cerowanym, kordonkowym i dzierganym podług ryciny. Na środkowych gęstych kwadracikach wykonać atłasem deseń wypukły, na rycinie przedstawiony.

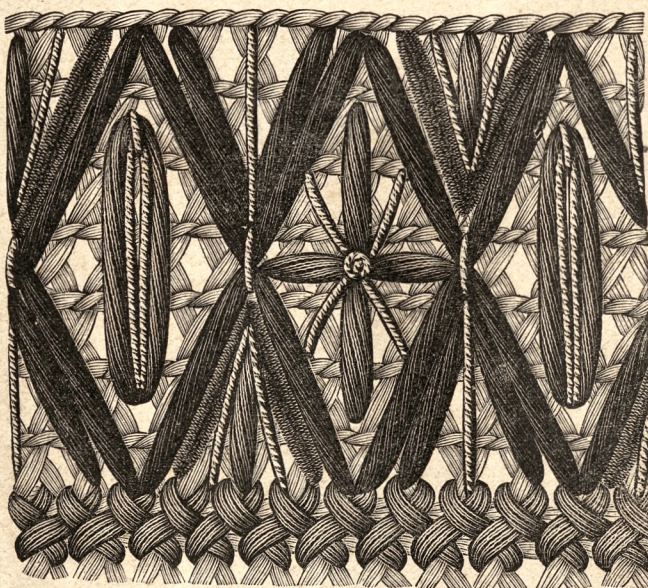


Nr 11. Znak haftowany

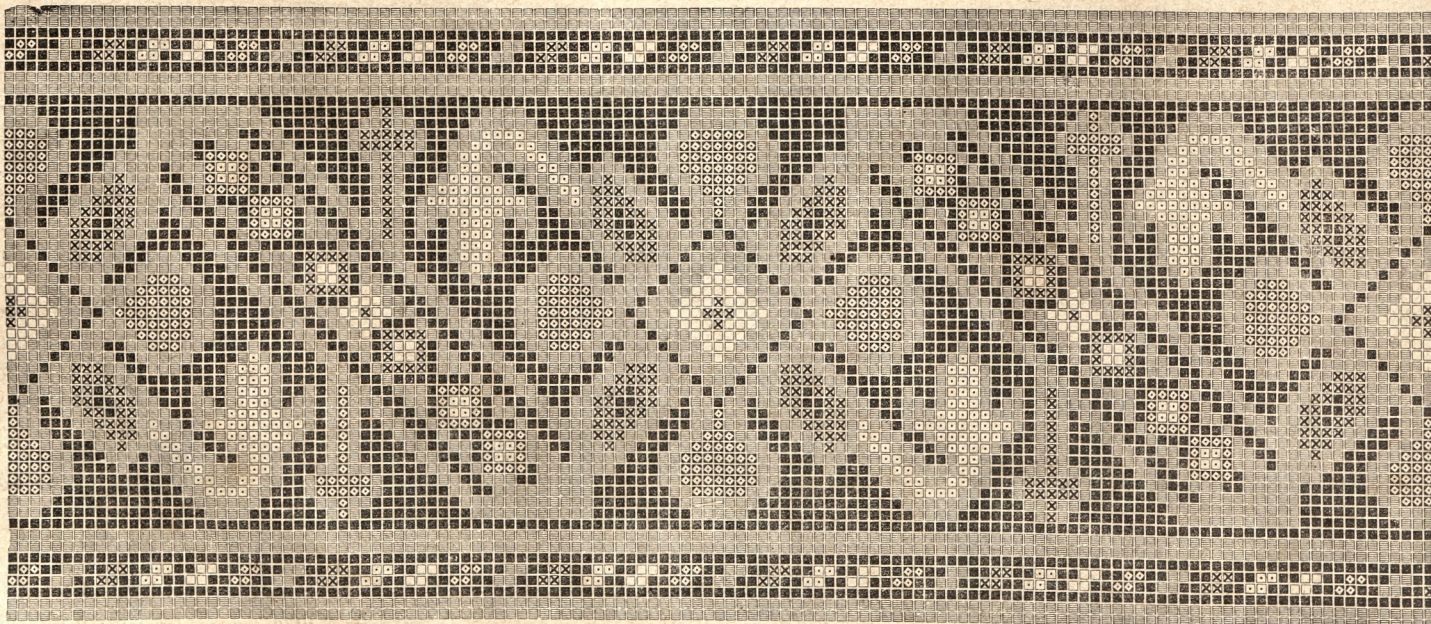
Pas na poduszki, meble i t. p.

Rycina Nr 19 w Blu. Nr 23.

Pas wykonany na niepodzielnej zwyczajnej kanwie, różnokolorową hamburską włóczką i filozelą. Deseń odznaczyć na kanwie, pojedyncze figury zahaftować podług wzoru ceglasta, niebieską i oliwkową włóczką, arabeski środkowe popielatą włóczką i jaśniejszą filozelą, szlaczek brzeżny pronzową włóczką i filozelą „vieil-or“; szlaczek węższy płaskim ścięciem popielatą włóczką, poczem krótką jaśniejszą filozelą, ścięciem pocztowym. Tło zarobić filozelą „vieil-or“ rzędami złożonymi z prostopadłych ścięgów, z których każdy przez 3 nitki wzdłuż, a jedną wszersz.

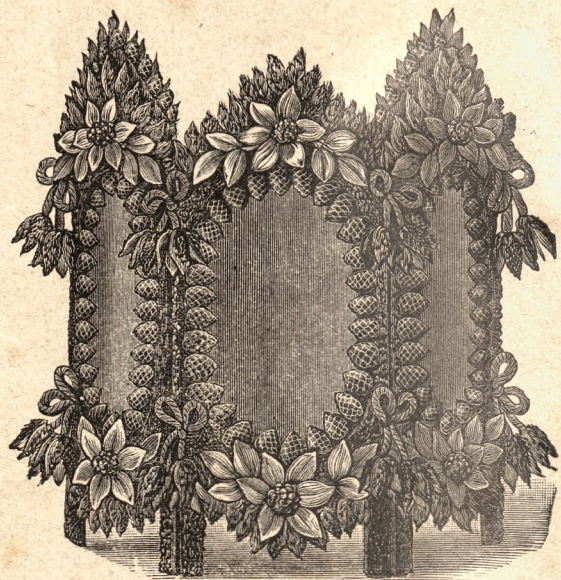


Nr 9. Szlaczek do ryc. 8. Wielkość naturalna



Objaśnienie znaków: ■ czarny, □ ciemno-pasowy, □ jasno-pasowy, * ciemno-niebieski, □ jasno-niebieski, ■ brązowy.

Nr 13. Szlak do poduszek, serwet i t. p. robotą krzyżową.



Nr 10. Parawanek do zastawienia nocnej lampki.

Parawanik do zastawienia nocnej lampki.

Rycina Nr 10.

Parawanik złożony z 5 ruchomych części drewnianych w kształcie ramek medalionowych, z których każda 22 cent. wysoka, a 10 cent. szeroka, obciągnięta jest zieloną mantyną, którą należy klejem do brzegów rami przytwierdzić — na ozdobę służą szyszki olszowe i lupinki buczyny, ponaklejane podług ryciny na materjał. Na kwiat i listki zdobiące każdą ramkę u góry i u dołu, należy ponaklejać lupinki buczyny

Suknia z kretonu w deseń.

Rycina Nr 3.

Spódniczkę z pasowego kretonu uzupełnia falbana plisowana, 480 cent. szeroka, z lewe-

wkleśłą stroną na wierzch, w środku zaś każdego kwiatka przylepić małą szyszkę; brzegi ramek obklejone podług ryciny sterczącymi łupinkami buczyny, puste miejsca ramki prócz tego posmarować klejem i grubo posypać tłuczoną gryką, a następnie pokostem pociągnąć. Jedną ramkę z drugą połączoną sznurkiem przewleczonym przez małe dziurki, wyświdrowane w ramach boku.

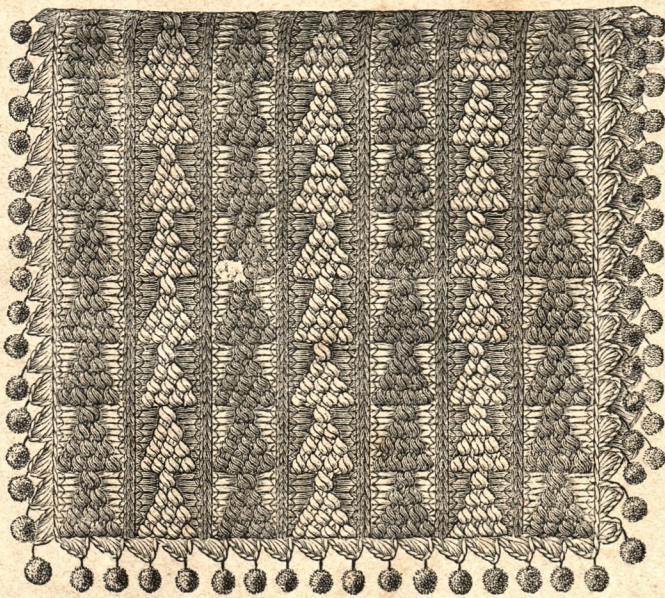
Prześcieradelko kąpielowe, ceratowy podkład i pieluszka.

Rycina Nr 24 do 26.

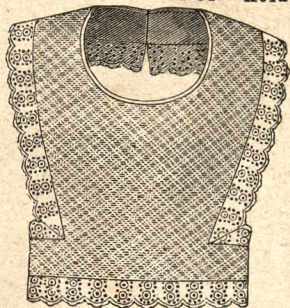
Rycina Nr 24 przedstawia prześcieradelko z cienkiej flanelki, 135 cent. długie, a 132 cent. szerokie, objęte z brzegów jedwabną tasiemczką.

Rycina 25 przedstawia podkład ceratowy, również tasiemką objęty, ma 80 cent. długości, a 37 cent. szerokości.

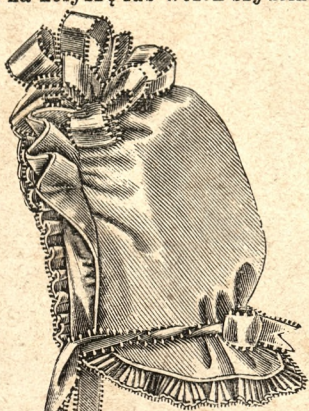
Pieluszka ryciny 26, zrobiona jest z lnianej tkaniny w deseń (diapre), ma 140 cent. długości, a 70 c. szerokości.



Nr 14. Kołderka na kołyskę lub wózek szydełkową robotą.



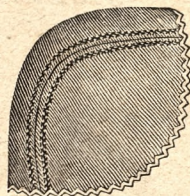
Nr 16. Sliniczek pikowy. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XX. fig. 70.



Nr 17. Sliniczek pikowy. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr X, fig. 24.



Nr 18. Kapelusik dziec. Krój i opis pier. str. t. Nr IV, fig. 14 i 15.



Nr 21. Czepeczek dziec. O. p. s. t.

Nr 23. Czepeczek z flanel. Krój i opis pierw. s. t. Nr VI, fig. 18 i 19.

Nr 22. Czepeczek dziec. Opis p. s. t.



Nr 20. Kaftanik dziecinn robotą szydełkową.

KORESPONDENCJE.

Prosimy raz jeszcze panią A. Z. z Tomaszowa rawskiego o adres, gdyż list go o to w leży do wysłania.

P. Maryi Taras...

Zakład nauki szewstwa ma pan Aleksandrowicz przy ulicy Tamka.

P. Ewelinie M.

Żądany Cold-crème znajduje się w Kalendarzu moim na r. 1886.

P. Pot...

Należy brać kwaterkę wody na funt cukru;—a lepiej jeszcze syrop cukrowy—wtedy nigdy nie zcukrzeje — podamy o tem artykuł.

Opis ryciny Nr 8, 14, 15, 19 i 20 podamy następnie, reszta jest zamieszczona na tablicy krojów, dołączonej do zeszłego numeru.

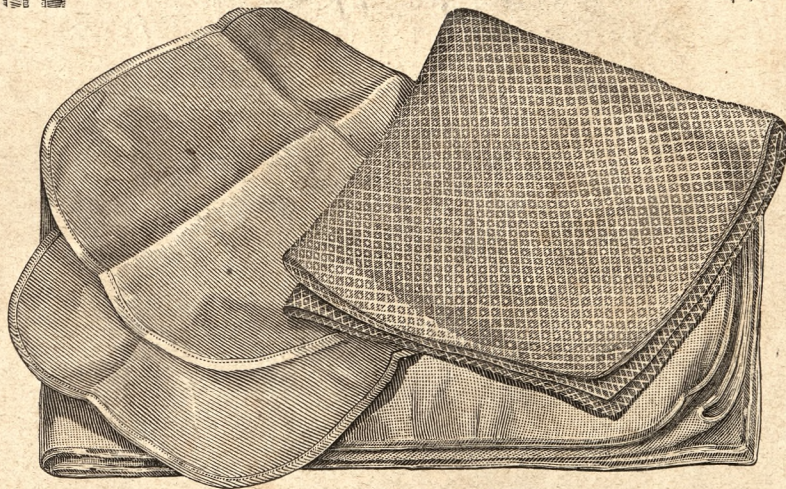
Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z liśćmi szczawio-wemi i jajami w koszulkach.
2. Kotlety baranie — sos „sou-bisse“.
3. Szparagi.
4. Kurczęta ze śmietaną.
5. Suflet cytrynowy.

Przepisy gospodarskie.

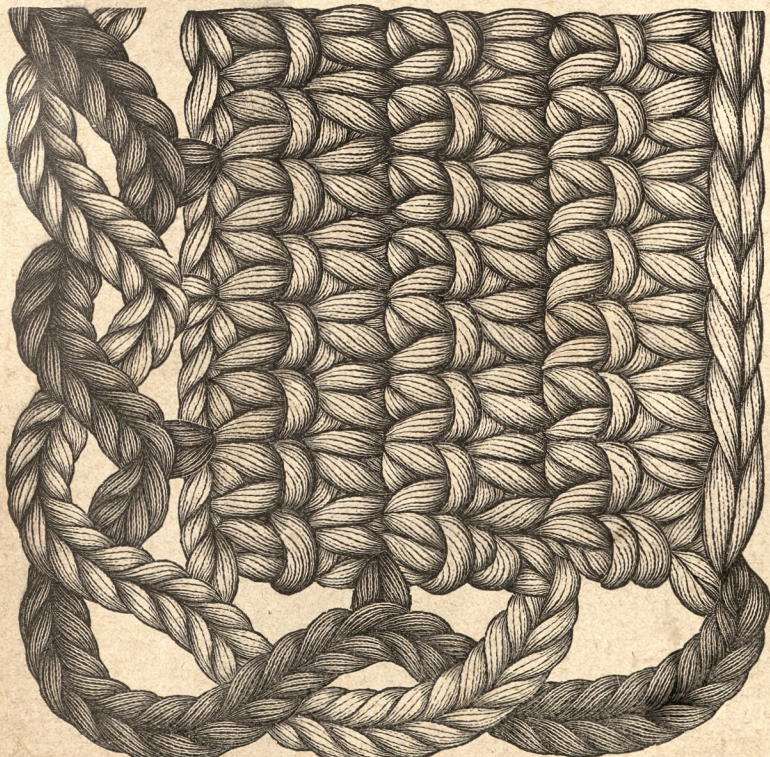
Bardzo oszczędny sok z wisien, malin lub porzeczek.

W dzisiejszych czasach potrzeby produkowania wszystkiego na sprzedaż, podaje sposób oszczędny wydobycia jak największej ilości soku z posiadanego owocu i tak: wybrawszy pestki z wisien za po-

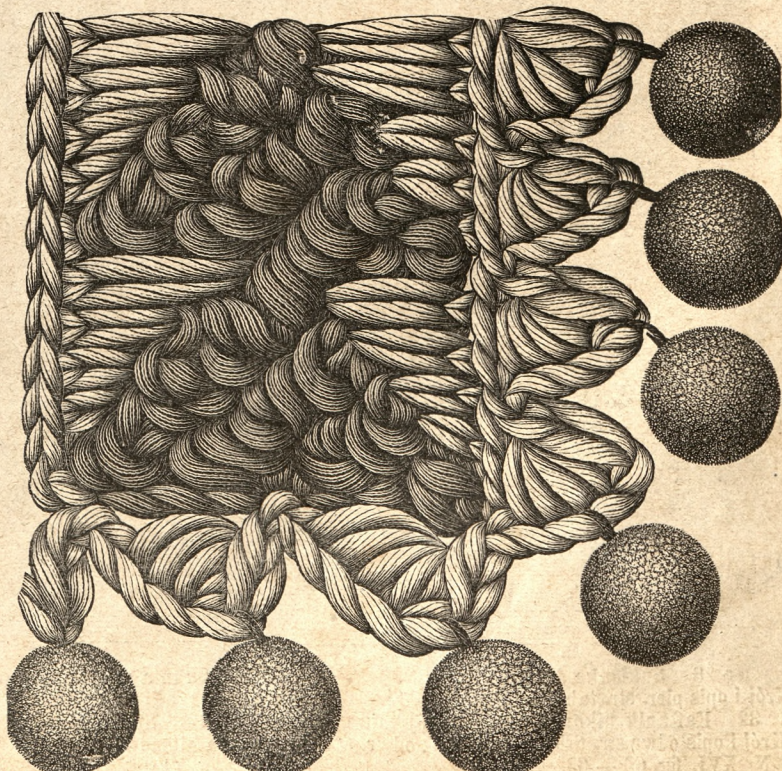


Nr 24 — 26. Prześcieradelko kąpielowe, podkład ceratowy i pieluszka

mocą śpilki podwójnej, z dwóch innych owoców nie potrzeba; — zważyć po jednym funcie cukru (mączki) na każdą kwaterkę owocu i przesypywać je tym cukrem w kamiennym garnku, zostawiając tak na 24 godzin w cień. Na drugi dzień pomieszać łyżką z lekką masą, włożyć w worek z rzadkiego płótna i powiesić, aby sok odciekał. Gdy zupełnie odcieknie — włożyć



Nr 27. Część kołderki szydełkową robotą. Wielkość naturalna.



Nr 15. Część kołderki ryc. 14. 1/2 wielkości naturalnej. (Do ryc. 14).



Nr 28. Sukienka dla niemowląt.
Krój i opis pier. str. tab. Nr III, fig. 9—14.

Nr 32. Kafianik pikowy. Krój i opis odwr. str. tab. Nr XVI, fig. 60—63.

Nr 29. Suknia codzienna z wełnianego materiału. Opis odwr. str. tabl.

Nr 34. Spódniczka pod sukienką dla niemowląt. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 20 i 21.

Nr 30. Kafianik ranny z fanelki. Opis odwr. str. tabl.

Nr 35. Koszulka webowa. Krój i opis odwr. str. tab. Nr XVII, fig. 64 i 65.

Nr 36. Szlafroczek sukienny. Opis odwr. str. tabl.

Nr 31. Majteczki dla rocznych dzieci. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIX, fig. 69.

Nr 37. Koszulka dla dzieci od 2 do 4 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IX, fig. 23.

Nr 38. Majteczki fanelowe. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 22.